

BIBLIOTECZKA NARODOWA

JULJUSZ SŁOWACKI



WYBÓR LISTÓW

CZĘŚĆ I.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

No 44.

Cena kop. 25
hal. 65.

BIBLIOTEKAZKA NARODOWA

WYBÓR LISTÓW
JULJUSZA SŁOWACKIEGO

CZĘŚĆ I.

88965

WARSZAWA

WYDAWNICTWO MICHAŁA ARCTA



260607 / 1

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125982

W 295 / 01

DRUKIEM M. ARCTA w WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

1911

PRZEDMOWA.

Do obecnej pory wyszło już kilka wydań listów Juliusza Słowackiego, jakkolwiek najpoprawniejsze z nich jest zebrane staraniem znanego miłośnika pamiątek po naszych wieszczach p. Leopolda Meyeta, wydane po raz pierwszy z autografów.

W dwóch tomach zawarły się listy poety do matki, w trzecim, jeszcze nie wydanym, mają znaleźć się listy Juliusza do przyjaciół.

Listy te do matki są poprostu nieocenione. Przedewszystkiem sama osoba adresatki godna jest prawdziwego szacunku. Salomea, córka Teodora Januszowskiego, ekonomy czyli zarządcy liceum krzemienieckiego, choć wyższego wykształcenia nie otrzymała, była kobietą niepospolitą. Po śmierci pierwszego męża, Euzebiusza Słowackiego, profesora liceum w Krzemieńcu, a potem uniwersytetu wileńskiego, całą swą miłość złała na jedynaka. Małżeństwo jej z dr. Augustem Bécu, profesorem tegoż uniwersytetu, dzieło rozsądku tylko, a nie miłości bynajmniej, nie dało jej szczęścia; wszystkie więc najszlachetniejsze instynkty swego serca złożyła w ofierze ukochanemu Julkowi. Subtelnym swoim umysłem odczuła więcej może, niż zrozumiała całą potęgę talentu swego syna, była jednym z nielicznych za życia Juliusza, jego wielbicieli; przytem nie opuszczała jej troska o życie syna, który w spadku po ojcu wziął skłonność do choroby piersiowej. Od chwili więc, kiedy Juliusz wyjechał zagranicę, t. j. od początku roku 1831, otaczała go ciągłą, choć niewidzialną opieką. Odmawiała sobie najpierwszych potrzeb życia, sypiała w nieopalanym pokoikach, byle tylko Julkowi na niczem nie zbrakło, by zdro-

wie jego i talent kwitły. Jeżeli więc cieszymy się pięknym rozwojem daru poetyckiego wielkiego poety, pamiętajmy zawsze, że w każdym jego arcydziele spoczywa ukryta niejedna łza jego matki, łza szczęścia i tklivości, nieraz też łza niedostatku.

Listy więc Słowackiego, gdyby już z innych względów nie były godne uwagi, są wielkim i pięknym pomnikiem miłości macierzyńskiej i poświęcenia macierzyńskiego. Nie dziw więc, że poeta do końca życia zachował dla swej rodzicielki serdeczną wdzięczność i uwielbienie, rozżęcone jeszcze czarem romantycznej tęsknoty, że u schyłku swych dni wyznał, iż ona była jedyną kobietą, dla której zachował do końca szczere i niezmiennie uczucie, a w cudnym swoim *Testamencie* kazał swe serce spalić w aloesie i zanieść je tej, która mu dała to serce...

Dla dokładniejszego wyjaśnienia stosunków rodzinnych Słowackiego dodamy, że pani Bécu miała dwie pasierbice, Aleksandrę i Henrykę. Tę ostatnią poślubił brat pani Salomei, Teofil Januszowski, tylokrotnie wspominany w korespondencji; z nim to właśnie spotkał się Słowacki we Włoszech w r. 1834.

Wszystkie listy Słowackiego, z wyjątkiem jednego, pochodzą z emigracyjnej epoki jego życia. Od 17 marca roku 1831 do 4 marca roku 1849 ciągnęły się one nieprzerwanem pasmem, dając obraz tego, co poeta widział, i tego, co przemarzył. Jeżeli dodamy, że pierwszy z tych listów pisany był niebawem po wyjeździe z kraju, do którego już nigdy nie miał na dłużej powrócić, ostatni zaś — na parę tygodni przed zgonem, przekonamy się, jak ważnym są one dokumentem biograficznym. Jest ich ogółem 142, z których wybraliśmy 50, nie najpiękniejszych zapewne, bo wszystkie są równie piękne, ale najciekawszych ze względu na opowiedziane w nich wypadki: tak więc najwięcej poświęciliśmy miejsca epoce szwajcarskiej (1833—1835) i podróży na Wschód (1836—1837), jako najpiękniejszym dniom życia tego, co zawsze pragnął mieć życie wzniosłe i poetyczne, co chciał ze swego życia zrobić poemat dla Boga.

Rozpatrując listy Słowackiego, musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę na to, że są one w samej rzeczy prawdziwym poematem. Tyle w nich wielkiej i szczerej poezji, tyle wzniosłości życia i wzniosłości duszy, tyle poetyckiej marzycielskości.

A przedewszystkiem — marzycielskości: ona bowiem jest wybitną cechą charakteru i daru poetyckiego autora, ona dała najpiękniejsze jego arcydzieła, ona też wiodła go przez

życie ku ideałom. Marzycielskość była początkiem i źródłem jego czynów, ze stolicy Francji powiodła go nad brzegi uroczego Lemanu, ze Szwajcarii do Rzymu i Neapolu, ona pchnęła go do romantycznej wycieczki przez Grecję, Egipt do Ziemi Świętej, ona wreszcie zniwoliła go do przejścia się mistycznym chorobliwym mistrza Towiańskiego. Listy Słowackiego są też wiernem zwierciadłem tej duszy marzycielskiej, tak czulej i wrażliwej na piękno, czy w dziełach natury, czy w czynach ludzkich utajone.

I widzimy, jak każdy wypadek, choćby najblachszy, każde wrażenie, bodaj najpospolitsze, zalamuje się w pryzmacie tej duszy romantycznej i rozszczepia na tysiące barw tęczyowych, jaskrawych i świetnych.

Listy te więc nie są tylko niewolniczą fotografią wypadków, mniej lub więcej urozmaiconych, lecz raczej obrazem podniosłych odruchów duszy poety na bodźce zewnętrzne.

Żyjemy i obracamy się nie w szarej rzeczywistości wypadków codziennych, lecz w bajecznej krainie tęczyowych marzeń, gdzie tyle skarbów nieprzebranych dookoła, gdzie wszystko lśni rajsłymi przepychy, złości się i promieni, jak w zaczarowanych ogrodach Armidy.

Dlatego też listy Słowackiego mają swój odrębny charakter, odrębną barwę, tak odmienne są np. od listów Mickiewicza, które znowu mają odcień szczerej, przyjacielskiej pogawędki, z sercem na dłoni, bez przykras wyobraźni poetyckiej.

Jako dzieło więc wyobraźni przedewszystkiem, godne są listy Słowackiego stanąć obok jego utworów poetyckich, godne są, aby je lepiej poznano i — pokochano.

Tak. Bo kochać trzeba Słowackiego nie tylko jako poetę, ale też i jako człowieka, kochać mimo słabostek, a nawet kochać go w jego słabostkach. Nie była to tak kryształowa dusza, jak Mickiewicz, nie było w Słowackim tego granitu i stali jak w tamtym. Dusza naszego poety, jak poezya jego, kapryśna i zmienna jak dzień wiosenny, lubuje się w krańcowościach, ulega chwilowym nastrojom, wrażliwa jest na wszelkie podniety, nawet takie, do jakich nie należałoby przywiązywać wagi, swój świat, świat swych marzeń, dążeń i nadziei uważająca za początek i koniec wszechświata, za punkt, w którym zestrzelać się powinny wszystkie promienie życia.

Pospolicie takich ludzi nazywają samolubami; być może, że Słowacki był samolubem, ale nie z oschłości serca, lecz z bujności wyobraźni, której się wszystko podporządkowuje; jego szczerze boli to, że matka cierpi niedostatek, ale jedno-

częśnie wie i czuje, że jest to ofiara konieczna, nieunikniona. ofiara dla jego talentu, dla jego przyszłości poetyckiej.

On ciągle marzy o tem, że będzie sławnym, wielbionym, że imię jego będzie rozbrzmiewało od morza do morza, przejdzie płomiennym drogokazem do wieków potomnych.

I jak widzimy, nie omylił się.

Słusznie zauważono, że dusza Słowackiego, jak i poezja jego, ma charakter kobiecej wrażliwości i drażliwości. I nie raz w listach jego znajdziemy coś, co nie przystoi napozór wielkiemu pocie, co powinien być wyższy nad marnostki życia. Ale to tylko pierwsze wrażenie: przyjrawszy się bliżej, zapoznawszy się lepiej z tą naturą miękką, subtelną, trwożliwie zamykającą się w sobie, jak czulek, za najłżejszym dotknięciem mroźnej i twardej rzeczywistości, pokochamy ją, pokochamy w drobnych jej zabiegach i małych rozczarowaniach. Bo taki tylko człowiek mógł być autorem «W Szwajcaryi», «Beniowskiego», «Króla-Ducha». Słowem, to, co mogłoby razić w Słowackim-człowieku, czyni go nam jeszcze bliższym, jeszcze sympatyczniejszym. Ten człowiek, choć we względnym dobrobycie pędził swe lata, choć nie zaznał nigdy prawie bezpośredniości trosk życiowych, ten człowiek pomimo to naprawdę cierpiał, choć cierpienie to najczęściej w wyobraźni źródło swe miało, nie w sercu.

Nie trzeba dodawać, że listy Słowackiego zawierają cenny i bogaty materiał do dziejów twórczości poety: dość pobieżnie rzucić okiem na subtelne obrazy poematu «W Szwajcaryi», a na korespondencję z czasów genewskich, dość porównać «Ojca Zadźmionych» z listami, w których odtwarzają się wrażenia z podróży na Wschód, aby przekonać się o tem dowodnie. Niektóre strofy, np. «Beniowskiego» byłyby zupełnie niezrozumiałe, gdybyśmy nie znali skądinąd sprawy zatargu Słowackiego z emigracją polską w Paryżu.

A i w innych utworach naszego poety, pozornie nawet bardzo dalekich od stosunków współczesnych, np. w «Balladynie», można odnaleźć tysiące drobnych wzmianek, akcyi, odnoszących się do życia bieżącego.

Wreszcie, jeden jest jeszcze wzgląd, który skłonił nas do ogłoszenia tego «Wyboru listów» autora «Lilli Wenedy», wzgląd, na który już i powyżej zwracaliśmy uwagę: to cudna forma tych listów. To nie jest korespondencja człowieka przeciętnego, przepelniona blachostkami codziennego bytu, ciekawa tylko dla adresata i tylko dla chwili bieżącej; to listy poety, który i tutaj, w osobistych zwierzeniach do ukochanej matki, nie przestał być poetą, a od prozy życia był w każdym czynnie tak bardzo daleki. To też każdy niemal list jego—

to poemat; zwłaszcza listy szwajcarskie i listy z podróży — to najczystsza poezja, choć formy wierszowej nie posiada.

W ostatnich czasach kult dla Słowackiego wzrasta coraz bardziej: ten, co za życia skarżył się na brak uznania i samotność duchową, teraz w opinii rozumnego ogółu staje tuż obok wielkiego współzawodnika, Mickiewicza, różny rodzajem talentu, ale równy potęgą. Nie od rzeczy więc będzie zapewne teraz przypomnieć niniejszym zbiorkiem listów, jakie koleje życia przechodził ten, którego słusznie uważamy za jednego z najlepszych duchów naszej poezji.

H. G.

LISTY DO MATKI I RODZINY.

1.

Warszawa, d. 15 września 1830. Środa.

Kochana Mamo! Miałem pisać do was w przeszłą niedzielę, ale odebrany list z Krzemieńca, w którym Teofil ¹⁾ wypytuje się o okolicznościach, potrzebnych do naprawy języka, skłonił mię, iż zatrzymałem się trzy dni z listem, żeby mu coś pewniejszego donieść, ale na próżno. Kaczkowski ²⁾ dopiero jutro będzie miał o tem pewną wiadomość; na przyszłą więc pocztę odkładam list do pana Pawła Jurkowskiego ³⁾ o introligatorze i list do Teofila o sztuce wymowy, podług prawideł Lahnsena. Dzięki, tysiąc razy dzięki Kochanym Państwu za list ostatni, gdzie tylu osób pismo postrzegłem, tyle miłych, przychylnych, a nawet pochlebnych dla mnie wyrazów wyczytałem. Chciałbym wszystkim poosobno wyrazić przyjemność i wdzięczność, jaką dla wszystkich przejęty jestem. Kochano Mamo, ucałuj odemnie po tysiąc razy rączki kochanej pani Michalskiej i powiedz, że już teraz zazdrośnem okiem nie patrzyłbym na Mniszeczkę, bo wczoraj jedna nieznajoma dama wszystkie Mniszeczki wyrugowała mi z głowy...

W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia

¹⁾ Teofil Januszowski, wuj Juljusza.

²⁾ Dr. Karol Kaczkowski, profesor uniwersytetu Warszawskiego, autor kilku dzieł medycznych.

³⁾ bibliograf.

jest dniem moich urodzin; wymówiłem się z tym przed jednym z moich znajomych i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach, przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana przepijała do mnie szampanem. Staruszek jeden, po polsku ubrany, siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony, melony, Wołyń mi przypominały i jeszcze bardziej dopomagały illuzyi.

W kilka dni potem, jednego poranku przyjechał do mnie Potocki,¹⁾ prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioseczki Niemcewicza; muszę więc Mamie opisać obszernie tę wizytę. Ursynów leży o małą milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny; mgła lekka, jesienna pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz, przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśnym. Nareszcie stanęliśmy u celu podróży. Pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której z daleka widać już było dom poety; nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz stał przed gankiem. Podobnie więc, jak Lubańska²⁾ do Czestochowy, zbliżyliśmy się pieszo z sercem skruszonym; przywitał nas dosyć obojętnie. Ułożyłem mu jakiś na prędce komplement, którego przyjął z uśmiechem; zaczął rozmowę o Wilnie rąbiącym tonem Jana Śniadeckiego. O źle — pomyślałem sobie — na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? — Szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła. «Panie hrabio — rzekł do Potockiego — wszak znasz mój Ursynów; oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach, ja się muszę tymczasem przebrać». To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie.

Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu podobny; w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza; z tej krowy, jak mi sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez skromność.

¹⁾ Tomasz Potocki pod pseudonimem «Krzyżtopór» pisał wiele z dziedziny wojskowości, polityki, historii i gospodarstwa.

²⁾ wdowa po Radziwille.

Usiadłem w altanie. Potocki stał nademną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, spytał mnie o przyczynę. «Myślę — odpowiedziałem mu — iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz, słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem; szczęśliwy, odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie».

Wtem lokaj, przysyłany od starego, zaprosił nas na śniadanie; właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń. Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza i podano herbatę z pasztetem na zimno. Wymówiliśmy się od jedzenia i przestaliśmy na samej tylko rozmowie. Przy nogach Niemcewicza siedziały dwie małe dziewczynki. Są to córki jego kamerdynera, którym często pozwala swawolić z sobą. Jedna z nich przy gościach kilka razy mu mówiła: «Pan jesteś tak głupi, jak ja». A stary z uśmiechem przyjmował ten grzeczny komplement. Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż wprawdzie dosyć obojętnie. Kazał zdjąć herbatę, kazał się jednej dziewczynce w twarz pocałować, a zapytana od niego: «Kto jesteś?» odpowiedziała: «Żona panowa». Potem kazał im odejść i cicho się sprawować.

Opatrzyłem się na przypadek w trzeci akt tragedji *Min-dowe*; na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do drugiej sceny, w której Mindowe zrywa z Krzyżakami, obrócił się nagle, czoło jego pomarszczyło się, widać było znacznie natężoną uwagę; patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć; a oczy ma szare, przenikliwe i z wielkimi najeżonemi brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego. Przy końcu drugiej sceny wykrzyknął głośno: «Ach, czemuż tej tragedji grać nie można!» Ten wykrzyknik bardziej mnie pochlebił, niż wszystkie potem dawane pochwały. Czytałem dalej, słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział:

«Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta. co ma tak wielki talent i duch obywatelski utrzyma». Potem dodał: «Przepisz pan tę tragedję na kilka rąk; warto, niech czeka szczęśliwszych czasów, chciałbym ją całą czytać». Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: «Cieszę się, iż poznałem tak zanego młodzieńca». Prawda, jak to po staropolsku?... Otóż cała wizyta; nie gniewaj się, kochana Mamo, że ją tak obszernie opisałem.

Tego dnia, przyjechawszy do domu, zastałem przyjemny list Olesi.

Mieszka teraz ze mną przybyły z zagranicy Januszkiewicz, ten sam, którego Mama zaraz po przyjeździe do Karlsbadu na ulicy spotkała, a z miny poznawszy, że Polak, prosiła go po francusku, żeby Mamie dopomógł w wyszukiwaniu mieszkania. Opowiadał mi o Mamie anegdotkę, która krąży w Karlsbadzie, że kiedy chłopiec w oberży pytał się, czy Mama chce ze śmietanką pić kawę, omyłona podobieństwem wyrazu «śmietanka» z wyrazem innym, który znał pułkownika, odpowiedziała chłopcowi po niemiecku: «Nie, ja bez pułkownika chcę pić kawę, ja sama chcę pić kawę!» Czy to prawda? Podziękowałem Januszkiewiczowi, że na wstępie do obcego miasta Mamie usłużył i obiecałem mu, że od niego klaniać się będę Mamie w tym liście..

Chciałbym wiele jeszcze pisać, ale list ten kończę w biurze, nie staję mi więc czasu ani na podziękowanie kochanej Julce i Jasiowi za ich przypiski, ani do dłuższego pogawędzenia z wami...

Kochanej Babuni za karteczkę po tysiąc razy rączki całuję... Czy wyczytacie ten list?... Wyczytajcie, jeżeli możecie i jeżeli was w połowie nie znudzi. Adieu, kochana Mamo, adieu, uściskaj wszystkich odemnie!

JULEK.

2.

Wrocław, d. 17 marca 1831 r.

Kochana Mamo! Zdziwisz się zapewne, odbierając odemnie list, datowany z Wrocławia. Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się, wyjechałem za granicę, i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od kochanej Mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się Mamie, czy nie. Ale niestety, podróż moja nie zaczyna się przyjemnie. Mając weksel przysłany sobie na Drezno, musiałem jechać na Prusy, a w Prusach odebrano mi mój paszport i zatrzymano mnie we Wrocławiu, obiecując dać nowy paszport, pruski. Siedzę więc już od kilku dni w tem nudnem mieście, a co gorzej, że mi pobyt w nim drogo kosztuje. Kochana Mamo, nie jest to miejsce, abym ci tu moją wdzięczność wyrażał za dobroć, z jaką moje chęci przewidywałaś. Gdyby ci, kochana Mamo, chciał opisywać, jak mnie rozczerliło odebranie weksłu na Drezno, ten sposób delikatny oddalenia mnie od niebezpieczeństwa, wzięłabyś może, kochana Mamo, wyrazy wdzięczności za przypochlebianie

się synała, który, wyjeżdżając za granicę, chce od dobrej Matki pieniędzy dostać.

Wyjechałem w podróż 8-go tego miesiąca; nudną miałem drogę, czas dosyć brzydki. Wyjechałem w nocy. Smutno mi było; zdawało mi się, że uciekam, i teraz jeszcze często się kłócę z mojem sumieniem. Mamo moja kochana, śliczny kraj opuściłem i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić!.. W drodze nic mi się jeszcze szczególnego nie przytrafiło, ale przykrości wiele. Szczęśliwy będę, kiedy do Drezna paszport dostanę, a dostać spodziewam się, bo otrzymałem świadectwo jednego z pierwszych tutejszych doktorów, jako wyjeżdżam dla poratowania zdrowia. Mamo moja, nie lękaj się tego świadectwa!

Do Wrocławia jechałem przez Zulau, gdzie widziałem piękny zwierzyńiec, napelniony jeleniami, przez Kremnitz, gdzie pokazywano mi plac batalii, gdzie Prusacy kiedyś zbili na głowę Austriaków. Samo miasto Wrocław jest dosyć ładne: niezmiernie stare, wszystkie domy do siebie podobne, tak że dla kierowania się w tem mieście kompas bardzoby się przydał. Kilka ślicznych gotyckich kościołów, dwa place, z tych jeden nazywa się placem Blüchera, na którym stoi statua tego pruskiego bohatera — drugi plac wielki jest to rynek, pośród którego stoi jeden z gotyckich kościołów, a naokoło mnóstwo bud i szop ogromnych; przybyłem tu albowiem w czas jarmarku. We Wrocławiu szczęście tak zdarzyło, że znalazłem Kubusia Gaję; ¹⁾ jadąc z wielkimi pieniędzmi, został także we Wrocławiu zatrzymany i już od tygodni 7-miu tutaj siedzi. Zrobił się z niego teraz bardzo dobry chłopak; we wszystkim mi usługuje i wszystko ułatwia. Jest tu jeszcze kilku Polaków, z którymi zabrałem znajomość; wszyscy zatrzymani i dręczeni. W drodze także poznałem się z jednym pruskim oficerem; bardzo dobry chłopiec. Cały pierwszy wieczór, gdyśmy się z nim poznali, mówił mi różne awantury, z których, chociaż ja bardzo mało rozumiałem, umiałem jednak tak zręcznie uśmiechać się wtenczas, gdy z miny jego wyczytałem, że mi coś śmiesznego opowiadał, iż przez kilka dni byliśmy z sobą w najlepszej harmonii i sądził o mnie, iż daleko więcej po niemiecku umiem, niż jest w istocie. Nie lękajcie się jednak o mnie; mówię już i ja trochę tym językiem i nie jestem przymuszony, chcąc jeść, zaglądać do rozmówek, jak Kłębowski. ²⁾ A propos rozmówek: książeczka, którą mi, kochano Mamo, przy mojem od-

¹⁾ Jakób Gay, budowniczy † 1849 r.

²⁾ Profesor rysunków w liceum Krzemienieckim.

jeździe z Krzemieńca do tłumoka włożyła, nieraz mi tu usługuje, ale uczę się pierwszej frazesu, a potem go recytuję, w książeczkę nie patrząc; to jest bardziej honorowo.

We Wrocławiu bardzo jednostajnie prowadzę życie. Mieszkam z Gajem w jednym hotelu, pod «*Złotą Gęsią*», mam na drugim piętrze mały od dziedzica pokój. Wyjeżdżając, rzęczy moje, w tłumok opakowane, i fortepian zostawiłem u Lapiarów.¹⁾ Jeżeli kiedy w waszych stronach ucichło, Teofil może go sobie kazać sprowadzić, a mnie podług słuszności pieniążki za granicę przysłać. Zresztą wszystko moje z sobą nosię, to jest: mały tłumoczek, a w tłumoczku trochę bielizny i mnóstwo wierszy. Szkaradne wiersze, wagę mego tłumoka do 46 funtów podniosły. Kochana Mamo, nie pisz do mnie do Wrocławia, bo spodziewam się, iż tu niedługo zabawię, ale, jak tylko przyjadę do Drezn, napiszę do kochanej Mamy i czekać będę z niecierpliwością listu od was dłuższego, niż te, którem dotąd odbierał. Kaczkowscy²⁾ kłaniają się wszystkim w Krzemieńcu. Starszy się ożenił, jest naczelnym lekarzem. Młodszy także w wojsku; ja musiałbym być na tem skończyć.

Mamo droga, żegnam ciebie. Nie wiem, kiedy się teraz zobaczymy. W Dreźnie znajdę Odyńca, Mickiewicz jest w Rzymie. Kochanych Dziadunia³⁾ i Babuni Dobrodziejstwa rączki całuję. Teofil nabawił mnie niegdyś strachu; uboczną drogą dowiedziałem się, że się wszystko dobrze skończyło. Adieu, wszyscy moi mili! Przygotuj się, Hersylko,⁴⁾ iż kiedyś, jak wrócę, Melankę twoją po niemiecku uczyć będę, bo to ładny w ustach dam język. Adieu, jeszcze raz całuję was serdecznie.

3.

Drezno, d. 12 m. kwietnia 1831 r.

Kochana Mamo! Co za szczęście! Wyrwałem się z nudnego Wrocławia, gdzie po długich korespondencyach odebrało z Berlina odpowiedź, żeby mnie puścić w dalszą drogę. Dano mi więc paszport do Francji; ja zaś przyjechałem do Drezn, i myślę tu czas niejaki posiedzieć. Bardzo mi się to miasto podobało, bo przez długi pobyt w Warszawie stęskniony by-

tem po pięknych okolicach, tutaj zaś są przesłizne. Czy doszedł ręk Mamy kochanej list mój z Wrocławia? Byłem tam pod ścisłą obserwacją i dlatego się o ten list pytam. Niegodziwy Wrocław; w *Goldene Gans* zdarli mnie okropnie, bo za dni 16 zapłaciłem 30 talarów i miałem tylko tę przyjemność, że mieszkalem w zupełnie starożytnej kamienicy, której dachy wyższe są, niż trzypiętrowe ściany, a pod dachami pieje kogut i krzyczą koty.

Do Drezn przyjechawszy w wielki piątek, stanąłem w hotelu pod *Złotą koronę*; zdaje mi się, że tam i Mama kiedyś mieszkała. Zaraz wyszedłem na miasto, albowiem mówiono mi, iż w katolickim kościele ma być ładna muzyka i słyszałem śpiewy; trafilem właśnie na psalm, śpiewany przez Tarquiniego na jakąś bardzo smutną nutę. Pierwszy raz słyszany głos tego rodzaju, wreszcie cichość kościelna (bo była to właśnie chwila, kiedy księża gaszą po jednej trójką obstawiony paląciami się świecami), wszystko to niewypowiedziane na mnie sprawiło wrażenie. Słyszałem potem podczas mszy głos tego samego Tarquiniego; ale, sztuczne wywodząc arye, nie tyle na mnie zrobił wrażenia.

Po obiedzie, w dzień mego przyjazdu, wyszedłem na miasto, w nadziei, iż chodząc po ulicach, napotkam gdzie Odyńca. Błądząc różnemi drogami, zachodzę na wielki rynek, spostrzegam jakąś najpiękniejszą cukiernię (Baldyniego) i nad drzwiami napisane: *Café de l'Europe*. Ha, myślę sobie, Odyńcie musi być w Europie; wchodzę na pewno i za pierwszym rzutem oka spostrzegam naszego poetę, który mi zaraz na moje zapytanie: «To Czatyrdah?» odpowiedział: «Aa!»... A nie przez jedno tylko: «aa», wyraził niepospolite zadziwienie; przeprowadzał je przez wszystkie tony, jak Karp, marszałek wileński. Krótko mówiąc, ucieszyliśmy się oba ze spotkania i zaraz, wzięwszy się za ręce, poszliśmy do Odyńca kwatery. Tam wyrządził mi wielką przysługę, bo zaraz przez swego gospodarza, który jest wielkim przyjacielem Polaków, wynalazł dla mnie prywatną stancję, która tak jest niedroga, iż po warszawskich mieszkaniach zdaje mi się, iż tu za darmo mi przychodzi. Za 6 talarów na miesiąc mam ładny salonik o 5 oknach (a przez każde okno, jak powiada Odyńcie, inną widzę panienkę). Salonik cały umeblowany bardzo ładnie, nawet z lampą alabastrową, podobną do tej, jaka jest u Hersylki, tylko trochę zapyłoną — słowem, że mogę wieczorami lampę zapalać i bajronizować. Żeby zaś o wszystkich przyjemnościach mieszkania dać wam wyobrażenie, donieść muszę, iż oprócz ładnego widoku na plac wielki, na kościół, znajduję przyjemność, patrząc na ładną córkę mojej gospodyni.

¹⁾ pani Lapiere—siostra Jakuba Gaya.

²⁾ Karol i Michał.

³⁾ Teodor Jenuszewski, dziadek Juljusza.

⁴⁾ Hersylja i Aleksandra Becu—córki drugiego męża Salomei, matki Juljusza, pierwsza wyszła za brata matki Teofila Januszewskiego.

Panienka mówi po francusku i ładnie gra na fortepiano. Waryacye Czernego zawsze mi Wilno i wszystkich was przypominają. Przez jedno okno mego salonu (najmniej przyjemne), mogę rozmawiać z Odyńcem, przez drugie okno (przyjemniejsze) mogę rozmawiać i rozmawiam z ładną sąsiadką, która *vis-à-vis* mieszka; tylko ten język niemiecki zawsze mi stoi na zawadzie, a, jak na nieszczęście, w rozmówkach, danych mi przez kochaną Mamę, nie znajduję stosownych do okoliczności wyrażań.

Znalazłem w Dreźnie wielu Polaków z Warszawy. Pozwczoraj, z trzema z pomiędzy nich, z Platerem, bratem Ludwika, z Chwalibogiem i z Mikuliczem byłem w *Grüne Gewölbe*, to jest w skarbcu tutejszego króla. Wszystko ładne, bogate, ale bez gustu, tak, że nic nie zostaje w pamięci; ostatnia tylko sala mocno mnie zafala. Widok tyłu brylantów, razem zgromadzonych, nosi na sobie cechę jakiejś wielkości—jako szczególny w swoim rodzaju. Przepyszne brylanty! Widziałem brylant 7-my na świecie, zielony.

Zrobiłem już w Dreźnie jedną znajomość, u pani Dobrzyckiej; podściwa staruszką, Polką; jej córka jest pierwszą damą dworu. Ta oddawna zachwycona hymnem *Bogarodzica*, przyjęła mnie z otwartymi rękoma, a nad moim *Kulikiem*, którego nie znacie, płakała; teraz często na herbatę mnie zaprasza. Jest tu także panna Czacka, zdaje mi się, iż to Mamy znajoma; mam jeszcze być u Komarów i u jenerałowej Dąbrowskiej. Z Polakami, tu będącymi, wybieram się do Szwajcaryi Saskiej. Urodził się tu teraz nowy król. Szczególna rzecz, iż w chwili jego narodzenia, kiedy harmaty strzelały, grzmoty pierwszy raz dały się słyszeć. Z powodu jego narodzin wczoraj była wielka parada: z drugiej strony Elby dawno ognia z harmat, cała publiczność patrzała na to i wielkiego bulwaru. Te strzały harmat, ten tłum publiczności wiele mi przypomniał—ale tamte były okropniejsze.

Kochana Mam, pisz do mnie do Dreznia *poste restante*. Jeszcze dotąd wekslu Mamy nie zmieniłem; dotąd żyję i jeszcze żyć będę z miesiąc z 40-dukatami, z którymi wyjechałem z Warszawy. Pieniądze więc mi dosyć dotrzymują placu, lecz, kiedy wyjechałem na wójaż, chciałbym dalej jechać; wszystko to jednak od woli kochanej Mamy zależy. Dobrzeby było jednak, żeby na przypadek jakiej przerwy w naszych źródłach zabezpieczyć się przynajmniej na lat 2. Jeżeli możecie gdzie podnieść z 5000, to mi je przyszlizcie w wekslu na Paryż lub Genewę. Kochana Mamo nie uwierzysz, ile na tem czuję, że ciebie tak ogałacam, że tyle wymagam, nie mając nawet nadziei kiedyś wywdzięczenia się

za to. W biurze nie było żadnych widoków, nawet to biuro, gdzie byłem, zaczęło być źle uważane z powodu... Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci. Los jakiś rządzi moją karierą i widzę, iż zawsze będzie mi na przeszkodzie stawał. Kochana Mamo, całuję Ciebie serdecznie w rączki i nóżki, Babunię i Dziadunia Dobrodzieja o błogosławieństwo proszę; z dalekich gór Krzemieńca spłynie ono na moją głowę. Ściskam was, Hersyliu, Teofilu i Melanko... Adieu.

S.

5.

Drezno, d. 6 lipca 1831 r.

Kochana Mamo! Z jaką radością, odebrałem nareszcie list od kochanej Mamy, datowany z dnia 28 maja! Dzięki ci, dzięki, kochana Matko, za wszystko, co robisz dla syna, który czuje, że nie jest godzien teraz, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał. O Mamo moja, nie gadaj teraz przed nikim o mnie! Oby mnie teraz zapomniano; może potem znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju... Kochana Mamo! W przytomności Odyńca czytałem list twój; nie mogłem się wstrzymać od placzu, czytając myśl o twoim nagrobku. Ponieważ żyły te miały świadka, nie chcę je zataić tak, jak wiele innych łez, wylewanych samotnie. Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyrzeźbione, ale przyjdzie chwila...

Kochany Teofilu, jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebiega taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem, nie mogłem być użytecznym. Ofiarowałem moje usługi w biurze dyplomatycznym; mój wielki niegdyś protektor X.¹⁾ zaraz mi chciał dać pensyę; nie przyjąłem jej, cóż... byli tam hrabiowie—ja przepisywałem. Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem. Mamo kochana, ty jedna przynajmniej, wiem, że mną zupełnie pogardzać nie będziesz. Interesa nasze tyle mnie tylko obchodzą, ile to kochanej Mamy wygod dotyczy się; ja przestałem już myśleć o wszystkim, byłem mógł ochronić kilka tysięcy, żeby z temi zacząć kiedyś mój pracowity zawód, a wtenczas będę się zupełnie do moich przychodów stosował; teraz to, co od kochanej Mamy dostałem, wystarczy mi aż do marca. Wyjadę przez Szwajcaryę do Neapolu, tam znajdę w jakim klasztorze, jak mi mówił He-

¹⁾ Franciszek Ksawery Książę Drucki-Lubecki, znakomity mąż Stanu, minister skarbu Król. Polskiego (1821 do 1830).

ryng, ¹⁾ za małą cenę mieszkanie i jak najmniejszym obchodząc się będę się starał. Przyjemność zacyzy [wszystkie mi przyjemności zastąpi; czuję, że mi jej potrzeba.

Niech was to bardzo nie obchodzi, co tutaj napisałem, albowiem pisałem to wieczorem; a w wieczór zawsze jestem w stanie gorączkowym. Żeby nie te myśli, bardzoby mi było dobrze w Dreźnie; przez cały dzień czytam, w południe kąpię się w Elbie co dnia, co mi bardzo służy, bo woda tej rzeki ma w sobie z gór części żelazne, a zatem jest wzmacniająca, czego na sobie bardzo doświadczam.

Ileż razy, chodząc po ulicach, starałem się domyśleć, w jakim Mama mieszkała hotelu — i zdaje mi się, że pod *«Goldene Krone»*, *«Złotą koroną»*; czy zgadłem? O Mamo, jaki czas teraz prześliczny na naszym horyzoncie — na chwilę zachmurzyło się niebo. Było to skutkiem stosu galwanicznego (niech to świadomi elektryczności Mamie wytłómaczą), stosu, złożonego z krążków srebrnych i złotych, przekładanych sinym papierem; odkryto stos — fizycy od butelek lejdejskich pogina, bo tak byli nieroztropni, że, robiąc doświadczenia z elektrycznością, na ramionach nosili metalowe przewodniki. Otóż znów wpadłem na fizykę, jestem jak student z klasy 3-ciej; to zdarzyło się w uniwersytecie Getyngi.

Śliczne są okolice Drezna. Wczoraj panna Dobrzycka i pani Asthon, Angielka, zaprowadziły mnie do Brysnitz nad Elbą. Nie widziałem jeszcze w życiu piękniejszego miejsca. Siedzieliśmy z pół godziny na płaskim szczycie świątyni, podobnej do *«Chłodnika Tetydy»* w Zofiówce; byliśmy, jak zawieszeni nad Elbą. Z drugiej strony rzeki śliczne równiny, z prawej strony w odległości ładne Drezno, a okna domów przy zachodzącym słońcu paliły się, jak tysiączne lampy. Kilka statków z rozpiętymi żaglami płynęło po wodzie i kilka czółen rybackich. — Oto jest obraz, który tak wprawia w smutne zamyślenie, że przez cały czas, pomimo etykiety, słowa do dam nie przemówiłem. Znajomy wam zapewne dobry nasz plenipotent, co to nazywał siebie *«kniaź»*, chociaż jego imię, tak, jak nasze, szlacheckie, na *«wicz»* się kończyło, jest teraz w Paryżu. ²⁾ Pisał do nas, że dobrze jego pana idą interesa, że wkrótce ma być uznany jako główny plenipotent, że tamci adwokaci pomagają mu w sprawie. Ale cóż nas teraz interesa mogą obchodzić? Nudzę was niemi, może wolelibyście mieć nowiny polityczne, ale o tych nic nie wiem.

Dziwnie się musi teraz wydawać Krzemieniec, tak spokojny między górami, po których wiatr świszcze; opisujcie mi więcej ze szczegółami tę okolicę, bo bardzoby mi chciał poznać miejsce, gdzie mieszkacie. Przeraziła mnie cholera, która atakowała kochaną Babunię; wszystkie się na was biedy zwały. Kochana Mamo, kazałem dla ciebie zrobić mój portret. Już jest prawie skończony, w bardzo ładnym guście; przed wyjazdem z Drezna przysłę go Mamie, jeżeli, pisząc do Hausnera, zobowiążecie go, żeby się małą paczką nie przerażał. Jak mi miło będzie, jeżeli to kochanej Mamie zrobi jaką przyjemność. Najczęściej chodzimy z Odyńcem do *«Wielkiego ogrodu»* na spacer; dziwny się tam często, jak Niemcy mogą cały dzień przepędzać nad szklanką piwa z cygarem w gębie; gdzie się tylko zbliżamy do tłumy, wszędzie o Nas gadają i lubią nas. Galeria obrazów w Dreźnie wkrótce będzie otwartą; będę w niej całe poranki przepędzał i wielką stąd obiecuję sobie przyjemność. Gospodyni, u której mieszkam, i córka gospodyni bardzo mnie kochają. Pierwsza mówiła, iż chciałaby mnie mieć przez całe życie w swoim domu, druga, iż, jeżeliby chciała mieć brata, to takiego, jakim ja jestem. Pierwszy raz w życiu jestem ideą doskonałości; bardzo mi się podobała naiwność ładnej Saksonki; pochlebiła mi. Nigdzie nie widziałem tyle ładnych kobiet, jak tutaj. Niech teraz wasza Melanka wije laurowe wieniec i na turniejach rozdziela nagrody; niech robi podobne wiersze, jak zrobiła sześćioletnia dziewczynka właściciela Nieświeża:

Czy na tegim rumaku, czy na chudej szkapie,
Ten mą rękę pozyska, co... złapie!

Chyba teraz pójdzie za mąż za cholere... Ciekaw jestem, co się dzieje z Olesią, z Zenonem; czy wiecie co o tym ostatnim? Wielu moich znajomych opuściło Drezno: Dąbrowska pojechała do wód z ładną swoją córką; Komarowie wyjechali do Karlsbadu, kilku z mężczyzn wróciło do swoich majątków, towarzystwo więc moje znacznie się umniejszyło. Nic teraz nie piszę; to mój zwyczaj w lecie...

Przeczytałem wiele ważnych dzieł, teraz czytam pamiętniki *«dun'e contemporaine»*. Nie podobają mi się.

Kochana Mamo, całuję serdecznie twoje rączki i nóżki. Kochanym Babuni i Dziaduniowi dziękuję z uszanowaniem za kilka słów, które mi w liście obdarzyli. Hersylko, bądź szczęśliwa — i ty, Teofilu, nie gniewaj się na mnie, bo ja Ciebie szczerze kocham! Adieu! Panu Pawłowi Jarkowskiemu pełne uszanowania ukłony. Pisałem do Hausnera, żeby mi te 300 r. sr. przysłał weksłem do Drezna na Genewę.

¹⁾ Heryng Fortunat, cioteczny brat Juljusza.

²⁾ Generał Karol Kniaziewicz.

Londyn, d. 6 sierpnia 1831 r.

Kochana Mamol! Otóż jestem w Londynie. Jakim się to stało sposobem, do zagadek policzyć potrzeba.

Dnia 25 lipca spokojnie sobie siedziałem w Dreźnie i zrana pijaliśmy niemiecką kawę. Wtem drzwi się otwierają, wchodzi nieznamy jegomość i powiada mi, że przywiózł listy od siostry mojej, z którymi jak najprędzej do Paryża i Londynu mam jechać. Siostrzyczka moja była trochę chora i chciała, żeby ją tamtejsi doktorowie ratowali. Nadto przywiózł mi od siostry na drogę pieniądze; zaraz jeden z moich przyjaciół ofiarował mi bryczkę na resorach krytą—i tak we trzy godziny po odebraniu listów ekstra-pocztą ruszyłem do Paryża.

Wszystko koło mnie mijało, jak cienie latarni czarnoksięskiej; podróżowałem dzień i noc, jak Gryzomir Krasickiego, i nie wiele więcej od niego widziałem. Były kraje, przez które ze strachem przejeżdżałem; płaciłem po królewsku.

O godzinie 12 w południe wyjechałem z Drezną; nazajutrz rano byłem w Lipsku, wieczorem 26 byłem w Wejmarze. Interesowało mnie to miasto, jako będące miejscem pobytu Goetgo; bardzo ma ładną postać. Przez noc przejechałem przez Erfurt, Saxgotę, a nad rankiem piłem kawę w Eisenach... Śliczne miasteczko, a jeszcze piękniejsza droga, która z niego dalej prowadzi między ogromnymi górami. W Fuldzie zatrzymałem się godzinę dla naprawy powozu; znalazłem tam w oberży chłopca, co pisze historią teraźniejszej wojny, czyli biografią generałów, bardzo dobrze... Dnia 28 zrana byłem w Frankfurcie; tam bawiłem godzinę dla zmieniienia moich weksłów. O południu byłem w Moguncyi. Śliczny Ren; jaka szkoda, że na niego dłużej popatrzeć nie mogę! Potem przeleciałem śliczne prowincje reńskie, dnia zaś 29 wieczorem wyjechałem do Metz. Co za przepyszny widok! Miasto uiluminowane—jako rocznica rewolucyi Francuskiej—lud tysiącami tłoczy się po ulicach. Miałem interes o prefekta departamentu; był na balu. Zabłocony i bez koszuli prawie, bo kolnierz schowałem pod chustkę, poszedłem na bal. Możecie sobie wystawić zadziwienie i jeszcze inne jakieś uczucie, z którym byłem przyjęty; krótki interes, jaki miałem do prefekta, odbywszy, pojechałem dalej.

Szkaradna Francya: miasteczka gorsze od naszych miasteczek, nędza. W południe minąłem Verdun, wieczorem w Chalons-sur-Marne złamał mi się powóz; zostawiłem go tam i ka-

załem sprzedać na zysk składek zbieranych.. 31 lipca o godzinie 12 w południe wjeżdżałem do Paryża. Postyliion mój wioził mnie najpiękniejszymi ulicami, i jemu winienem, że widział Paryż. Zajechałem do Platerowej Ludwikowej; prosiła mnie, żebym poszedł spać; usłuchałem jej rady i prześpawszy cztery godziny, piątą mego pobytu w Paryżu obróciłem na zwiedzenie Palais Royal i na posilenie żołądka, co uskuteczniłem w pierwszym paryskim traktyerze. Prawda, że z pożytkiem wojażuję?..

O godzinie 5-iej wieczorem już siedziałem w chaise de poste; leciałem do Londynu. Przez całą noc widziałem uiluminowane miasta i miasteczka, bo jeszcze ciągnęły się fety... Nic mi się szczególnego nie zdarzyło, oprócz (jak mówił świętej pamięci Strzelecki) oprócz, powtarzam, tylko co się nie spaliłem. Chwała Bogu, że się skończyło na szlafroku, który leżał podemną i zupełnie spłonął, na pole od surduta i na kawałku kolnierza od płaszczu. Wszystkiemu temu winno cygaro; odtąd też ani cygarów ani lulki nie palę, a to nie tak z bojaźni, jak dla nadzwyczajnej tego drogości w Londynie... Ale wróćmy do podróży.

Nazajutrz wieczorem po wyjeździe z Paryża, t. j. 1 sierpnia, przejeżdżałem przez Boulogne sur mer; widziałem morze, przyjemne przypomnienie Odesy. O godzinie 12 w nocy wjeżdżam do Calais, z Paryża mil 37. Śliczny widok latarni morskich, bo każda inaczej się pali dla rozróżnienia. Sta nałem w hotelu de Bourbon. Okropnego mi wypłacił figla *paquetbot à vapeur*: odszedł bezemnie. Nająłem więc statek, co mnie niezmiernie kosztowało, ale zato byłem panem okrętu i wszyscy byli na moje rozkazy. Musiałem zaś koniecz nie nająć statek, bo czekać do jutra było niepodobna. Wjeżdżając do Dover, kazałem zatknąć francuski pawilon, i miło mi było, kiedy pytającym się i tłumnie zebrany na brzegu Anglikom majtkowie odpowiadali, kto i skąd jedzie. Śliczna Anglia! Murawa zieleńsza, a piasek czerwieniej farby, co pejzażom oryginalny nadaje widok. Każda garść ziemi uprawiona, śliczne miasteczka; Kanterbury jak mały Londynik wygląda.

O godzinie 5-iej zrana dnia 3 sierpnia stanąłem w Londynie; zajechałem do hotelu Royal na ulicy St. Jermyn. Przeczytajcie Szyrmę o hotelu londyńskim, a wystawicie sobie moje zachwycenie. Ci lokaje, co, wystrojeni, na głos dzwonnka, jak duchy, po wystanych dywanem schodach wchodzi, te wykwinne śniadania—wszystko mi się podobało, żeby nie droga cena. Znów odsyłam was do Szyrmy, *je ne suis mis en pension* w bardzo pięknym i umyślnie na to urządzonym do-

mu, u państwa Gordon. Pani sama bardzo dobra; prosi mnie, żebym, ile razy co jeść zechcę w dzień, żebym się do niej udał, jako członek rodziny, i istotnie jestem jakby w własnym domu. Płacę na tydzień półtrzecia gwiney, to jest naszych 105 złotych; mam ładny pokój, z rana angielskie śniadanie, o godzinie 1-szej drugie śniadanie, bardzo pięknie zastawione, o godzinie 6-stej obiad wykwiłtny; wino osobno kupuję. Po obiedzie pijemy my, mężczyźni, aż do 8-jej, ale pijemy bardzo skromnie, nigdy więcej nad pół butelki; o godzinie 8-jej proszą nas na herbatę do salonu, gdzie są damy; wieczorem panienki grają na fortepiano i śpiewają—rozmowa. Jeden Anglik bardzo się do mnie przywiązał i uczy mnie po angielsku. Słowem, bardzo mi tu dobrze. Anglicy... Londyn przepyszny; Paryż ani w porównanie iść nie może.

Oj, Teofilu, ty błdziłeś w Warszawie, a ja w Londynie nie błędę, choć wystawić sobie nie możecie ogromu tego miasta; z jednej części do drugiej jeżdżą dyliżansami. Lokaj dyliżansu takiego wystawia palec: dosyć mu jest palec nawzajem pokazać, a już jesteście na drugiej stronie miasta za 1 szyling, t. j. 2 złote. Miesiąc zabawię w Londynie. Nie troszczcie się o mnie; potem wracam do Paryża. Znalazłem tu doktora Heymana z Wilna; ów to ładny Heyman, Hersylko; bardzo dobry chłopiec. Poznałem jednego ze sławniejszych literatów, pana Leitch Ritchie; mam wyobrażenie życia literatów londyńskich; bardzo z nim dobrze jestem. Pierwszy wieczór przepędziłem u niego *en famille*, bo jest żonaty; byłem na herbacie, a potem zatrzymał mnie na ostrygi i whisky szkockie, t. j. wódkę z cukrem i z wodą, o której tak często Walter Scott wspomina. Prosił mnie na obiad; bardzo mi u niego dobrze. Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi, to, co było w mojej mocy, i szczęściem, że tylko fluksyi dostałem po tylu trudach; dwa dni prawie spałem w Londynie. O, moi mili, wiercie mi, że o was nie zapominam, że mi tu bez was tęskno; ale dobrze jest, że widzę Londyn. Rodzina nasza będzie zdrowa. Mamo, Mamo kochana, nie zapominaj o mnie i kochaj przywiązanego syna!

7.

Paryż, d. 10 września 1831 r.

Kochana Mamol! Otóż jestem w Paryżu po 5-ciu tygodniach pobytu w Anglii. Ach, Londyn, co za miasto! Zaraz po przybyciu do Londynu pisałem do kochanej Mamy; jeżeli

więc ten list mój doszedł, wiedzieć będziecie o powodach moich nadzwyczajnych przejażdżek po świecie.

Pobyt w Londynie kosztował mnie dukatów 50, lecz mogę powiedzieć, iż nic mnie nie kosztował, bo tyleż pieniędzy wziąłem za małą broszurkę, po francusku napisaną, a którą Anglik ma tłómaczyć i pod swoim imieniem wydać. Żartujcie sobie teraz z mojej literatury! Podróż, chociaż wprawdzie utrudzająca, nic mnie także nie kosztowała; przyjechałem więc do Paryża z moimi pieniędzmi nietkniętymi i te mi do miesiąca czerwca wystarczą. Myślę siedzieć w Paryżu przez zimę, nie dla zabaw, lecz dla łatwości, z jaką tu dostaję książek, i dla dogodzenia potrzebie cichego życia, które się mnie czuć daje. Co za dziwna myśl: w Paryżu siedzieć dla cichego życia!

Ale wracam do Londynu. Wiele miałem w nim chwil zachwycających; przyjemne miasto; wszedłszy na samą kulę wieży St. Pawła, rzuciłem okiem wokoło i, pomimo niezmiernej wysokości wieży, z żadnej strony końca nie było widać; domy aż za horyzont się rozciągały, i pyszna Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy do obelisków ponobne kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu—wszystko to tworzy widok zachwycający. Groby w Westminster zwiadałem także, ale dla przygotowań koronacyjnych nie mogłem dobrze widzieć *Kęta poetów*, który mnie najbardziej interesował. Dziwny ma pozór dziedziniec Westminsteru, brukowany grobowcami kamieniami, i widok tych ludzi, co sobie bez uwagi stąpają po napisach i czasem zastanawiają się, czytając je pod nogami. Takie groby mają ci, którym sława nie otworzyła drzwi kościoła, a którzy chcą jednakże jak najbliższej sławnych ludzi spoczywać. Pyszny także, choć jeszcze nieskończony, most podziemny: ogromna amfilada filarów, w każdym filarze lichtarz brązowy, z którego gaz się pali; ten rząd światła i filarów, niknący w oddaleniu, myśl wreszcie o ogromie przedsięwzięcia, bardzo wielkie sprawia wrażenie.

Przez jeden dzień w Londynie byłem szczególniejszemu śliwy. Zszedłszy zrana do salonu na herbatę, odebrałem uwiadomienie, żebym się udał do jednego z londyńskich bankierów, który odebrał adresowany do mnie list z Paryża. Tego samego rana spostrzegłem w gazecie, iż Kean, sławny aktor, występuje w najslawniejszej swojej roli, to jest w *Ryszardzie III*. Co za radość! Nie spodziewałem się widzieć Keana, bo przez lato wielkie teatru londyńskie zamknięte, dopiero za dwa miesiące otworzyć się miały. Poszedłem do

bankiera odebrać list i znalazłem list od kochanej Mamy; wychodzę na ulicę koło St. Pawła katedry i czytam list, potrącany od przechodzących, list tak miły i tak uspakajający moje sumienie. Dziękuję ci, kochana Mamo, dziękuję ci kochany Teofilu, i proszę, abyscie nie pamiętali moich dziwactw.

Uszczęśliwiony listami, z pogodną myślą zasiadłem do długiej angielskiej tragedyi (odsylam was do wojażu Szyrmy); to tylko powiem, iż Kean nieporównany i gra jego zupełnie jest w moim guście. Anglicy dobrze wystawiają tragedye. Byłem także w Vaux-hallu; jest to ogród, pięknie iluminowany trzy razy na tydzień; w dzień, w którym byłem, iluminacja była piękniejsza, niż zazwyczaj, albowiem były to imieniny króla; śliczny fajerwerk i balon, w którym dwóch ludzi poleciało w nadpowietrzne krainy. Przy końcu mego pobytu w Londynie przyjechał tam Niemcewicz; widywałem się ze starszkiem, mile od niego przyjmowany. Wyrzucił mi, że mojej tragedyi litewskiej grać nie kazałem. Starsuszek trochę chory, smutny i niepewny przyszłości, ale Bóg czuwa nad nami.

Nie możecie sobie wystawić, z jakim wylaniem się, z jaką czułością żegnali mnie Anglicy; ręka bolała mnie od ściskania się. Wszyscy wstali od stołu (co u Anglików jest niesłychaną rzeczą), aby mnie odprowadzić do powozu. W nocy wyjechałem z Londynu. Nad rankiem stanąłem w Dover, tam cały dzień czekać musiałem na odejście statku parowego; o 4-ej po południu puściłem się na bardzo wzburzone morze; im dalej płynęliśmy, tym było okropniej. Calais, choć mała cieśnina, ale niezmiernie burzliwa; o godzinie 10 w nocy ciemność była okropna i fale tak wzburzone, że przelatwały przez pokład. Znużony i dręczony morską słabością, poszedłem do kabiny, czyli do salonu; dziwny widok: ze 40 osób leżało na sofach i na podłodze. Szczęściem miejsce maleńkie na sofie znalazłem, skurczyłem się i zasnąłem, a jednak pomyślałem sobie przed snem, iż może się gdzieś indziej obudzę. O godzinie 12 w nocy obudzono mię rozmową; dowiedziałem się z rozpaczą prawie, że do portu Calais wpłynąć było niepodobieństwem, bo tegoż ranka przy wejściu do portu rozbił się okręt i nocą niebezpiecznie było omijać go, znów więc kilka godzin morskiej słabości; wracamy napowrót do Dover. Posępny był widok portu Calais. Latarnie morskie pogaszone dla ostrzeżenia okrętów, żeby nie wchodziły nocą, i szum okropny wzburzonej fali. Wracamy do Dover, lecz nimeśmy wrócili, wiatr ustał i napowrót kapitan skierował do Calais, dokąd o godzinie 8-ej zrana przybyliśmy. Śliczne było słońce wschodzące na morzu. Miałem więc wyobrażenie burzy.

Po tych przeprawach szczęśliwie dyliżansem dostałem się do Paryża. W Paryżu piękne pałace. Ogród Tuilleries z swemi drzewami bardzo piękny, ale cóż za podobieństwo do ogromnego parku James w Londynie, gdzie po obszernej murawie rozrzucone ogromne drzewa i pasą się najpiękniejsze trzody, a naokoło ogromne pałace za drzewami pokazują się wpół zamglone tą atmosferą, która dodaje wielkości i nieskończoności widokom angielskim! Paryż podobny jest do innych miast, do Warszawy — Londyn jest zupełnie oryginalnym.

W Paryżu nie zastałem tych, których widzieć chciałem. Gorecki i Mickiewicz w kilka dni przed moim przyjazdem, pierwszym do Paryża, wyjechali do Drezna; Odyniec, który w kilka dni przed moim wyjazdem z Drezna wyjechał do Litwy, dla zaszłych zmian, jak się dowiaduję, znów do Drezna powrócił. W Paryżu mało jeszcze mam znajomości, a salonowych żadnych. Lecz dobrze mi z tym: mam śliczny mały pokój z mahoniowymi meblami i z marmurowym kominem; co za przyjemność w zimie!

Dziękuję ci, kochana Mamo moja, że mi nawet w tych okolicznościach trudnych nie dajesz uczuć żadnych niewygód; o, żebyś, Mamo, mogła czytać w moich myślach, zobaczyłabyś, ile tam jest wdzięczności i przywiązania! Myśląc o Mamie... przychodzi mi na myśl Heryngowa; o synu tylko wiem, że jest w Warszawie i potrzebuje pomocy. Braknie mi miejsca na wyrażenie wam wszystkim mego przywiązania. Ściśkam ciebie, kochana Mamo, Babuniu, Dziaduniu, Teofilu, Hersylko, Melanko etc.

8.

Paryż, d. 20 października 1831 r.

Kochana Mamo! Od dwóch prawie miesięcy jestem w Paryżu i nie odbieram od was żadnego listu. W takich czasach, możecie sobie wystawić, jaka niespokojność dręczy mnie o was; jeszcze do tego Mamy zdrowie z nadejściem zimy... Wszystko to, wszystko okropnie mnie przeraża, a ja tak daleko, ani mogę tak, jak niegdyś, zlecieć do Krzemieńca, w nocy odbić waszą furtkę, obudzić Dziadunia, uchodzić przez chwilę za złodzieja co się wkłada do domu. I z rankiem być przyjętym ze łzami od Mamy! Cóżbym dał za taką chwilę! Zdaje mi się, iż widzę i tę górę zamkową, oświeconą księżycem, i słyszę mój dzwonek pocztowy. A my mieliśmy się kiedyś zobaczyć szczęśliwi—i wszystko to być-by mogło...

Czyście odebrali mój list z Londynu, a drugi z Paryża? Wiele zbiegłem świata. Żyłem z Anglikami, bo mi się podobali;

z Francuzami nie żyję, mam do nich jakąś nieprzewycięzoną odrazę; taka nieszczerłość i tak wiele gadają. Samotny prawie przepędzam dzień cały; brałem lekcye hiszpańskiego języka i teraz już doskonale rozumiem Don Kiszotą; nie równo, jak Don Kihote (notabene uczyć Teofila, że, jeżeli chce uchodzić za Hiszpana, niechaj to *h* wyrwie z głębi brzucha); uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Co to dla mnie będzie za źródło! Jest ich kilkaset. Wojaż bardzo wiele daje wyborażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniej pięknym, jak było w imaginacyi, i potem zostają w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginacyę. Kiedyś utworzy się trzeci najpiękniejszy, z imaginacyi i z sennego przypomnienia, i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów. Nie pojmuję, jak Byron mógł pisać na miejscu.

Jeden najmilszy z wieczorów, który miałem w Paryżu, był na cmentarzu *Père la Chaise*. Nic nie widziałem pięknieszego w tym rodzaju: za miastem wzgórze bardzo rozległe, którego pochyłość cała gęsto okryta grobami i zarosła cyprysami, przez które z trudnością przedrzeć się można; różne drogi krzyżują się w tym lesie; w cyprysach mnóstwo róży miesięcznych, białych, ale kwitnących wiecznie; czasem ognistym kwiatem błysnie geranium. Groby wszystkie podobne do siebie: najczęściej małe kolumny z marmuru białego. We środku, na górze, jest mała kaplica; stamtąd wzrok po murawie, z wierchołków cyprysowych utworzonej, spada na dół, i zdala, w dymie błękitnem, pokazuje się cały Paryż ze swojemi gmachami; nad nim, gdy byłem, zachodziło słońce. Czarne wozy ciągle tam przez pryncypalną ulicę przejeżdżają, ale pogrzeby tu bardzo ciche; u nas tak żydów chowają. Dochodząc do cmentarza, pełno ogródków i sklepików, obwieszonych wiankami ze świeżych i artificialnych kwiatów. To charakteryzuje Francuzów: każdy za kilka groszy dobrze pokaże innym swoją boleść, a kiedy da kilkanaście, to kwiaty z płótna aż po roku trzeba będzie odnowić.

Byłem na kilku teatrach; nie możecie sobie wystawić, jak Francuzi szkaradnie grają tragedję; każdy wiersz przez nadprzyrodzone głosu przechodzi gamy. W publiczności żadnego gustu: na piękne kawałki świszczą, nie nie lubią, tylko małe komedyjki, w każdej musi być deý algierski; tego wiecznie dreczą, i zdaje im się, że to jest sława narodowa. Byłem na takim wodewilu, zupełnie podobny do «Siedm razy jeden»; Francuzi rozpyliwali się.

Nie tak drogie życie w Paryżu, jak nam wojażerowie opowiadali; zapewne, iż bywać po balach i po domach gry, to kosztuje, ale żyć można spokojnie i po kawalersku za 2000 franków. Za 2 franki mam w Palais Royal obiad bardzo dobry: zupa, trzy, lub cztery potrawy i deser z pół butelką wina; potrawy wybierają się z karty, na której ze sto jest do wyboru, i można kazać dawać najwykwintniejsze. Wino zwyczajne szkaradne. Gazety czytam zawsze w ogrodzie Tuilleries, gdzie za jedną gazetę płaci się sous, to jest dwa i pół grosza; za tak małą liczbę można się dowiedzieć, co się dzieje na świecie. — Nic szczęśliwego!

Śliczny tu czas mamy; chociaż na drzewach mało już liści, czasem nawet bywa gorąco, dotąd nie widać żadnego piaszcza, ani watanego surduta; gdy ten list odbierzecie, zapewne już będę sobie rozkładał ogień na kominku. Jeżeli kto będzie oddawał pieniądze, to weźcie; za kilka tysięcy wdzięczny wam będę, widzicie sami, iż dla mnie niema innego widoku, jak te nieszczęśliwe poezye; czyż mnie ta nadzieja, jedyna nadzieja w moim życiu, zawiedzie? Innych snów wielkości nigdy nie miałem, innej nie spodziewałem się karyery, kiedy z małego ulomku znanym byłem wszystkim Polakom w Paryżu i w Dreźnie, kiedy jeszcze dotąd każdy, poznając się ze mną, wykrzyka: «A, to autor B...!»¹⁾ Czegoż spodziewać się mogę na przyszłość? Przynajmniej nie zapomnienia. Oskarżajcie mnie więc, iż trzymam się tego, co mi najwięcej w życiu zrobiło przyjemności. Jeżeliby mi się szczęśliwie z wydaniem poezyi powiodło, to mam zamiar pojechać do Hiszpanii, a stamtąd do Neapolu morzem, a przez Rzym i Wenecję, Tryjest, Wiedeń wrócić kiedyś do was, jeżeli będzie można. Jakbym był szczęśliwy, gdyby mi się te projekta udały!

Wiecie, iż teraz snom wierzę, i mam przekonanie, powzięte z doświadczenia, iż niektóre są prawdziwe. W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mnie sen okropny: było to 16 augusta; zdawało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedyś siedział na herbatę, wszyscy spostrzegli zmęczenie na mojej twarzy; wyznałem im że wstydłem sen nocy i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego²⁾. Anglicy potem mieli mnie za obdarzonego drugim widzeniem. Dowiedziałem się, iż teraz do domu, gdzie ja mieszkałem, przeniósł się Niemcewicz; bardzo mi miło, że jakiś Polak mnie przypomina,

¹⁾ hymnu «Bogarodzico».

²⁾ zaburzenia i rozruchy uliczne, które były wtedy w Londynie i w Bristolu.

zwłaszcza, iż tam dobre po sobie zostawiłem wspomnienie. Widziałem tu Rymgałę, tego to, który w domu Podczaszyńskiego w Wilnie był, jak domowy, i teraz tu się uczy architektury. Ale z Podczaszyńskim Michałem, ¹⁾ co mówi, iż mnie na rękę nosił, dotąd się nie poznałem; nie wiem, dlaczego. Często chodzę patrzeć, jak szychuje Oleszczyński, jeden z najpierwszych sztycharzy w Europie, młody Polak; z ojczyściej historii bierze przedmioty i wydaje album rysunków różnych czynów i pomników. Sowiński niejaki wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludu, z tłómaczeniem francuskim, w którym się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobiętom tutejszym niezmiernie się «Hryć» ²⁾ podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że ją Mama lepiej ułożyła. Jeżeli macie jakie dumki z muzyką, ładne, a mało znane, to mi przyslijcie.

Ciągle tu wychodzą karykatury; król nawet nie jest oszczędzany i wszędzie doskonale podobny. Widziałem go wczoraj: jechał pod baldakinem, ubrany w mundurze bogatym; iskrzyła się czerwona liberya, srebrzyste koni chomąty, a za nim oddział konnicy, a potem w karytach postrojeni ministrowie. Napiszcie mi co o cholery; tutaj jej jeszcze nie ma, i nie prędko spodziewana, zupełnie o niej nie myślę. Zdrow jestem zupełnie. Choroba morska posłużyła mi, ale co to za niegodziwa choroba! Będzie mnie zawsze odstraszać od przydłuższych wojażów morskich.

Bardzo tanio można tu kupować książki, i byłaby to dla mnie przyjemność mieć niektóre, ale ponieważ nie wiem, gdzie się obrócić, więc nie chcę się obciążać niełatwajacym tłómaczem. Nie chcę, aby mnie coś wstrzymywało daleko od was Mammo kochana, takbym chciał ciebie widzieć, takbym chciał przywiązaniem moim wynagrodzić ci, Matko, tyle cierpień, któreś poniosła z mojej przyczyny! Potrzeba mi spokoju; nie raz sobie myślę, iż nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy i powiadam sobie nieraz z Chateaubrianem: *si j'avais encore la folie de croire au bonheur, je le chercherais dans l'habitude*. Francuzi piszą teraz mnóstwo romansów w różnym rodzaju; niekiedy używają starego, zardzewiałego stylu, wprowadzając starych czasów osoby, tak właśnie, jak gdyby na teatrze Neron powinien po łacinie, jak student, trzepać. Najlepszy z tych romansów jest «*Les mauvais garçons*», bezimiennie wydany. Przeczytaj go, kochana Mammo, jeżeli dostaniesz. Strasznie zdrobnieli we wszystkim

¹⁾ dziennikarz i wydawca zm. 1836 r.

²⁾ piosenka ukraińska «Ne chody Hryciu, na wieczernicis».

Francuzi; nie mogę sobie wystawić, żeby to był ten sam Paryż, tak świetny niegdyś za Ludwika XIV, i nie powiem, jak Trembecki, ztem widział:

W dalekiej krainie
Atańczyki w Paryżu, Rzymiany w Londynie.

Adieu, droga Mammo, zaklinam ciebie, żebyś mi jak najprędzej choć kilka słów napisała i prosiła bankiera, aby je przesłał do Paryża. Adres mój: *Rue Neuve de St. Eustache* Nr. 5. Taki list niezawodnie mnie dojdzie. Adieu, droga Mammo! Uściskaj odemnie rączki Babuni i Dziadunia. Nie, pocałunek ten składam na Melankę; ona już mnie musiała zupełnie z serca Dziadostwa wyrugować. A Teofil cieszy się i schudnie z zazdrości, kiedy ja powrócę i jednym słowem hiszpańskim serce Babuni i Dziadunia napowrót odbiję... Oj, tak będzie! Hersylko, Teofilu, bądźcie zdrowi.

W a s z.

11.

Paryż, d. 2 marca 1832 r.

Kochana Mammo! Nie uwierzysz, jak teraz jestem szczęśliwy; i tobie, Matko moja, winienem jedyne szczęście, jakiego jeszcze doświadczać mogę. Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyi; za dwa miesiące będziesz je Mama miała. To tak samo, jakbyś mnie zobaczyła, bo ja nie jestem niczem innym, jak moimi poezyami. Od jakiegoś czasu piszę dziennik umyślnie dlatego, abym tobie, Mammo, szczegóły i wyjątki z niego mógł posyłać. Życie moje teraz jest daleko rozmaitsze, a przyczyną tego jest Skibicki, który tu przyjechał z Ameryki i z którym wzajemnie tak pokochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy. Chłopiec to, co się nazywa, do rzeczy; wrócił, chcąc walczyć, porzuciwszy drugą swoją ojczyznę, która dla niego rajem była. Na drugi dzień po poznaniu się (wyjątki z dziennika) jedliśmy razem obiad, gadaliśmy o was, o naszym przypadku w Czernolówce, który nas do Karczówki ¹⁾ zaprowadził. Pamiętasz, Matko kochana, jak cię ten przypadek martwił, a teraz musi ci się tak błahym wydawać; otóż to nauka, żeby się niczem nie martwić, bo wszystko złe i dobre przemija; ale tu coś wpadłem w styl homeryczny. Dalej pokrótce szczegóły mego życia. Napisałem po francusku odę, która mi ogromną sławę, ale tylko między rodakami, zrobiła, bom jej nie drukował; za dru-

¹⁾ wieś na Podolu

gą ode. w naszym języku napisaną, 200 Polaków publicznie uradziło, aby mi dać pierścień, jako pocie przeszłorocznych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze, ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają. Nie przysięgam wam wiele egzemplarzy tych dzieł, bo się lękam; do kraju zupełnie posyłać nie będę. Mam już mojego księgarza, który będzie moim księgarzem nazawsze, tak, jak Murray Bajrona, i będzie mnie oszukiwał. Byłem dwa razy w teatrze na przedstawieniu nowej dramy Dumasa, pod tytułem *Térésa*. Śliczna! Jest to pierwszy pisarz tragiczny francuski. Byłem na wielkiej operze *Niema z Portici*, która tak jest ładna, iż oprócz *Freischütz*a, nic podobnego nie znam. Najpierwszą tancerką baletu jest Taglioni. Nieładna, ale tak zgrabna, iż mówią wszyscy, że na świecie nic podobnego widzieć nie można; wszystkim Polakom, oprócz mnie, głowy pozawracała. Ale największe wrażenie zrobiła na mnie overtura, którą mi w Dreźnie moja panienka grała, kiedy po obiedzie leżałem, w gorąco, wyciągnięty na kanapie, i przerzucałem, drzemiąc, książki.

Skibicki oświadczył mi, iż mnie annonsował bez mojej wiedzy u księżnej naszej Czarторыskiej.¹⁾ Kazałem więc na łeb na szyję, żeby mnie krawiec stroił, tak, jak można kij ustroić i nadać mu nieco z osą przeciętą podobieństwa. Krawiec, jeden z pierwszych krawców, Polak, wysilił się i prawdziwie zadziwiającym sposobem jestem zgrabny. Ale te trzewiki, te mnie zabijają, a bez nich ani się pokazać. Przed poniedziałkiem, który jest dniem wieczorów u księżny, byliśmy z wizytą i, nie zastawszy w domu, zostawiliśmy bilety (które są u mnie sztychowane, pierwszy raz w życiu). Wystawcież sobie, co za grzeczność: księżna, chociaż mnie przez Skibickiego na wizyory zaprosiła, kazała Blotnickiemu²⁾ list do Skibickiego napisać, prosząc mnie raz jeszcze. Dzień poniedziałku, 20 luty nadszedł. Tego samego dnia siedzę rano u siebie, aż wchodzi jakiś człowiek z worem pieniędzy na plecach i oświadcza mi, że ma mi do wypłacenia 3000 fr. i natychmiast składa mi na stole całą sumę w biletach razem z listem od Mamy. Od tej chwili inne zaczęło się dla mnie życie: ułożyłem zaraz nazajutrz pójść do drukarza, sam zaś w najlepszym humorze poszedłem na wieczór. Skibicki prezentował mnie; przerwaliśmy czytanie wierszy przez pana Julien de Paris, sławnego wydawcę *Revue Encyclopédique* i znanego z przyjaźni ku nam. Potem znów rozpo-

¹⁾ żona ks. Adama Jerzego Czarторыskiego.

²⁾ literat, nauczyciel domowy Juljusza,

częło się czytanie, podczas którego przybyło wiele osób, kłaniając się z daleka gospodyni i nieprzerwywając deklamacyi. Gdy się ta skończyła, księżna przyszła do mnie i przez kilka chwil gadaliśmy, ale na nieszczęście Skibicki wmiszał się do konwersacyi i powiedział, że Polska, mnie mając, nie będzie Anglii Bajrona zazdrościć; te i tym podobne pochwały zmusiły mnie, iż się w tłum wmiszałem. Gdy błędę w labiryncie osób, przychodzi do mnie Ludwik Plater i oświadcza, że żona jego życzy sobie mnie poznać; poszliśmy więc do niej. Sama Platerowa bardzo grzeczna; gadała o moim ojcu, ale, zwyczajnie, jak to pańska pamięć, nie wiedziała, że umarł; potem zaprosiła mnie na czwartki.

Po tych prezentacyach nastąpiła nowa. Skibicki przedstawił mnie panu Julien. Jest to człowiek bardzo stary; przyjął mnie jak najgrzeczniej i zaczął rozmowę o literaturze. Krytykowałem mu trochę literaturę francuską, nie oszczędzając nawet wierszy, które czytał, bo te były nie jego. Pan Julien zaprosił mnie do siebie — dzień czwartek jest u niego przeznaczony na przyjmowanie wizyt — i dał mi swój adres. Potem zaczął się mazur maleńki, bo bardzo mało było dam polskich młodych. Księżna wybrała mnie, nie tańczącego w pierwszej figurze, jako gościa. Potem walcowałem z nią i z innymi damami. Pierwszą tu polską pięknoscą jest panna Mierzyńska, której matce byłem prezentowany. Potem wróciliśmy ze Skibickim do domu. Noc była śliczna i, przechodząc przez mosty, widzieliśmy księżyc, odbijający się w Sekwanie. Otóż, kochana Matko, masz obszerne opisanie mego wstąpienia na świat; tyle zaproszeń razem. Dziwne to na mnie wrażenie zrobiło i, przechodząc do domu, powtarzałem sobie mimowolnie smutne wiersze z Raju utraconego Milтона, cztery ostatnie wiersze, które zaczynają się: «Świat był cały otwarty przed nimi», a kończą się: «tak oni spokojnym i powolnym krokiem przez Eden rozpoczęli samotną drogę».

Nazajutrz rano poszedłem do drukarza Pinard o druk się układać i tam zastałem bardzo ładną pannę Pinard, której narzeczony zawiaduje drukarnią. Ten narzeczony był bardzo grzecznym dla mnie; ułożyłem się o druk, i dwa tomy będą mnie kosztowały nie tak wiele, jakem się spodziewał. Potem zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy. Biedny narzeczony musi panienki słuchać; musiał ze łzami w oczach na obiad mnie zaprosić; pewny jestem, iż mnie na niczem nie oszukają. Chodźko¹⁾ mówił mi, iż odemnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za dzieła Mickiewicza. Wi-

¹⁾ Leonard Chodźko, historyk, autor dzieła «La Pologne».

dzicie, że dobrze się poznawać z panienkami, dobrze się zostać przy kominku i o czym innym, niż o interesach, pogadać...

We czwartek poszedłem na wieczór do Ludwików Platerów. Ci, jak wiesz, są aż do zbytku uprzejmi; widziałem tam pannę Komar, ¹⁾ o której wam już pisałem, bo bywałem u Komarów w Dreźnie. Ładna to marmurowa osóbką. Znow była herbata, znow mazur. Dla Francuzów jeden kontredans: jeden, bo i Francuzów nie wiele. Tam miałem przyjemność widzieć jenerała Umińskiego tańczącego. Ale cóż pisać o tych wieczorach, które tak są do siebie podobne? Otóż teraz z rana jestem literatem, poprawiam korekty, piszę, przepisuję, a wieczorem od godziny pół do dziesiątej szczie się *un dandy*, angielski *petitmaitre*, i przyznam się wam, że to lubię; staram się, żeby nikt wieczorem nie odgadł, czym ja jestem z rana, a z rana, żeby nie mi z wieczornej *fatuilé* nie zostało. Nie zawsze mi się jednak to udaje, bo na drugim wieczorze u księżny przyszedł do mnie Ludwik Plater z pochwałami o tryumfach, jakie moje ody odniosły, i prosił mnie o wiersze; odpowiedziałem mu, że drukuję. Widać, że ta prośba pochodziła i od żony jego, bo ta, słyszałem, jak się pytała męża, kiedy wyjdą moje poezye. Potem Ludwik Plater zaparł mnie do kąta i musiałem z nim półgodziną o literaturze i o Anglii odbyć rozmowę; widziałem, że mnie polubił, bo mnie usilnie na przyszły czwartek zaprosił.

To dotąd o mnie, teraz cokolwiek o Paryżu. Jest to ostatni dzień zapust. Przez te całe dni maski jeżdżą w kabryoletach otwartych po ulicach, ale to nie osoby pierwszego tonu. Najwięcej arlekinów i pajaców. Dziś jednak spotkałem widok bardziej interesujący, jest to procesya wołu. Rzeźnicy wybierają najtłustszego woła, ubierają go w złociste szaty, złocą rogi, i sami przebijają się za dawnych rycerzy średnich wieków; i tak naprzód konno muzyka, potem tłum rzeźników na koniach w zbroi, potem dwa rzędy bogato przybranych rycerzy, majstrów cechowych, potem wół, który, jak mówią, trzy tysiące funtów waży, rzecz niepodobna do uwierzenia, choć prawdziwie wół ten zdawał mi się olbrzymim; po wole jedzie wóz przybrany, powożony przez woźnice, ubranego za Saturna; na tym wozie na przodzie trzech rycerzy, a na ostatniej ławce dziecię między dwoma ładnie przybranymi rzeźniczkami. To dziecię dawniej siedziało na wole, lecz raz się jedno z dzieci zabiło, i od tego czasu na wozie je sadzają. Wół oddaje naprzód wizytę królowi, a potem

¹⁾ siostra Delfiny Potockiej

wszystkim ministeryalnym wołom. Wszędzie rzeźnicy dostają podarunki, nazajutrz zaś, to jest w popielec, zabijają tego wołu i wszędzie, gdzie był z wizytą, sztuki z niego rozsyłają. Smutnie patrzałem na stworzenie, które jutro głowę pod topór odda. Czy mogliście sobie wystawić, aby wśród ucywilizowanego Paryża takie były farsy niezgrabne? Kiedy to piszę, pod moimi oknami dwie karety odkryte, napełnione maskami, przejeżdżają. Jest poco do Paryża jeździć! Gdyby przynajmniej te maskarady miały koloryt romantyczny, jak weneckie. Do tego potrzeba sztyletów — a tu proza, ulice napełnione żandarmami. Piszesz mi, Mamo kochana, abym co doniósł o mojej kuzynce; biedna ona, nic ją dobrego nie czeka; a przynajmniej jeszcze tego dobrego przewidzieć nie można. Teraz żałuję, że nie jestem bogaty: tyle tu nędzy, że sobie wystawić nie możecie. Niektórzy w mieście nieco odległym od Paryża mieszkać przymuszani, po złotemu na dzień biorą i bez butów prawie chodzą. Przeklęty to naród!

Piszecie mi, żebym książkę Mianowskiemu ¹⁾ przysłał; nie wiem, jakiej chce, bom listu od niego nie odebrał. Posyłając wiersze, napiszę do Olesi i do Ludwisi; wątpię, ażeby na tej moje rady co wymogły; przykro mi będzie pisać. Ze Skibickim robimy projekta wojażu po Włoszech piechotą, ale nie wiem, jak to będzie, bo mi dzieła teraz trochę wyciągną groźszów, a te z początku bardzo będą wracać powoli. Zawsze jednak mam zamiar mieszkać w Neapolu dla taniości życia, w Paryżu zaś zamówię i uproszę Chodzkę, aby nadal dzieła moje po umówionej już cenie drukował, bo, żeby mieć czem przypomnieć się publiczności, nie drukuję teraz napisanego już poematu *Lambro*.

Kochana Mamo! Zawsze powtarzam twoje «jakoś to będzie», i może nieraz w jednej mówimy je chwili. Nie dziwcie się, że teraz używam *i*, joty, bo, drukując, musiałem się ortografii nauczyć.

U nas wiosna, u was śnieg być musi. Wiele za moje listy płacicie? Czy dzieła moje dojdą? Wiele chcesz Mama egzemplarzy? Kochana Mamo, ściskam ciebie serdecznie. Napisz mi, gdzie mieszka kuzyn Mamy w Galicyi, co fortepian sprowadził i jak się nazywa? Adieu. Hersylkę, Teofila, Melankę serdecznie ściskam.

Kochana Mamo! Posyłam Ci list Skibickiego, który z wszelkiem uszanowaniem na pół arkusza był napisany; ja pozwo-

¹⁾ Dr. Józef Mianowski, późniejszy rektor Szkoły Głównej Warszawskiej.

liłem sobie pół listowego czystego papieru odciąć i tylko uwiadomić Mamę o tej formie uszanowania, i sam zabazgrzę jeszcze tę stronicę. Ale prawdziwie, że nie mam czym, bo, nie spodziewając się takiego przybytku w papierze, wszystko, co miałem na sercu, to w poprzedzającym liście wypisałem. Spodziewam się, że mi Teofil w następnym liście pobyt swój w Wierchówce opisze, bo mnie to bardzo interesuje, jak oni biedacy znoszą nieszczęście. Chciałbym być kiedyś w takim położeniu, abym mógł Stasia małego za granicą wychować i tym sposobem dać poznać ceniom Jasia, iż go po śmierci więcej nierównie kocham, niż za życia. Co porabia Zenonek, Henryk? Jaki u was karnawał? Bo w Paryżu był bardzo świetny. Rząd płacił ludowi, aby przybierał postać wesolą, i wielu teraz z pajaców odbiera za śmiech pozawczorajszymi pieniądze; tak to się tutaj bawia. Maskarady wszystkie w najgorszym guście: uczciwe damy prawie nie bywają. Nie miałem tu wcale ochoty, tak, jak niegdyś w Wilnie, przebierać się za Hiszpana, bo pewny jestem, iżbym nic podobnego, jak Porcyankowa¹⁾ w ubiorze Westalki, nie zobaczył.

Odyniec pisał do mnie z Drezna wyborczy list z wierszami wszystkich moich znajomych, nad którymi Odyniec pisze komentarze; jest on, a przynajmniej był niedawno w Lipsku Do Drezna wyjeżdża stąd Gorecki, poeta; nie żałuję go, bo ze swoją bigoteryą nudny człowiek. Na wiosnę będzie spokojnie... Złe... W Tuilleries ogrodzie postawiono śliczną statuetę. Jest to Spartakus, rwący kajdany. Statua ta patrzy na pałac królewski; ciągle otacza ją tłum ludu i mówi: «Gdyby nasze były z gipsu!»... Waryują Francuzi dla nowej tragedyi Kazimierza Delavigne, pod tytułem *Louis XI*. Nie widziałem jej jeszcze, bo przed teatrem zawsze tłum ludu, który tu się ogonem nazywa, i każdy przychodzący musi na końcu ogona stawać tak, że, nim się dociśnie, już biletów niema. Nie możesz sobie wystawić, jak Paryż nie jest nic osobliwego. Jeszcze raz całuję rączki kochanej Mamy... Wszyscy, wszyscy, bądźcie zdrowi i kochajcie mnie trochę! Tak mi miło za granicą myśleć, iż mam przeciw kogo, co mnie kocha, choć daleko odemnie! Adieu.

JULJUSZ.

12.

Paryż, d. 13 kwietnia 1832 r.

Najukochańsza Mamo! Nie śmiem ci napisać, że mi teraz lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było, bo sobie sam wy-

¹⁾ żona Dr. Porcanki, prof. chirurgji Uniw. Wileńskiego.

rzucam, że ja mogę być bez ciebie, kochana Matko, szczęśliwy; jakoż to uczucie, którego teraz doznaję, nie jest zupełne. Was mi potrzeba, potrzeba mi cię widzieć, kochana Mamo; kiedy będziesz moje wiersze czytała, potrzebaby mi było, abym ci je mógł sam przeczytać. Matko kochana, widząc, jak tu wiele teraz ludzi lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć, uwielbia, nie wstydziłabyś się twego syna. Czuję to i to dumne uczucie sprawia mi przyjemność; widzisz, kochana Matko, że wiele myśli, robiących mi przyjemność, do ciebie odnoszę. Odebrałem list twój dnia 14 lutego datowany. O, jakie śliczne wspomnienie tej chwili, kiedyś mnie, Mamo, prosiła, abym ci słońca nie zaciemniał! Jaka śliczna modlitwa Melanki! Płakałem, czytając ją, i potem list czytałem Skibickiemu, który także, słysząc modlitwę Melanki, łzę z oczu otarł. Ta łza na jego posępnej twarzy dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Jak Stern, chciałbym być mieć wówczas pod ręką tabakierkę Bernardyna. Kłaniałem się kutasom u butów.¹⁾ które miłe to przyjęły; wy je uwielbiacie, szczęśliwi. Nie wiecie, co to jest bliższe poznanie ludzi; jest to *le prophète voit de Korashan*,²⁾ tak go nazywamy ze Skibickim. Manuskrypta Jasia są tam, gdzie fortepian: w tłumoku, razem z moimi rzeczami. Starajcie się ten tłumek sprowadzić, bo i mnie miło by było, żeby moich rzeczy obcy nie przetrząsali ludzie. Otóż są odpowiedzi na wasz list.

Teraz zaczynam wam dziennik moich czynności, tak, jak go z mojego, po angielsku pisanego dziennika tłómaczę, skracając nieco. Tylko ty, kochana Mamo, nie czytaj tego listu nikomu, bo ja inaczej szczerze pisaćbym nie mógł; sama tylko rodzina ma prawo w moje czynności zaglądać.

Dnia 12 marca, poniedziałek. Panny Pinard, córki drukarza oboj, który przed kilku miesiącami umarł, zaprosiły mnie na obiad. Znalazłem tam Chodźkę. Średnia z panien nazywa się Kora. Śliczna, zupełnie taka, jak sobie wystawiałem Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15-cie i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja, jak zawsze, nie-
szczęśliwy, więcej daleko podobałem się pannie Pinard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa; a ponieważ mam dobre uszy, podsłuchiłem jej rozmowę z Chodźką. Mówiła jemu, iż mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem, a on jej na to odpowiedział: «*Mais, les Polonais ne sont pas bêtes*». Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi. Widzicie więc, iż zdarzają się chwile, kiedy wasz Julek dowodzi, że Polacy nie

¹⁾ Lelewelewi.

²⁾ osobistość z poematu Tomasza Moore'a «*Lalla Rookh*».

są głupie. Po obiedzie zostałem sam z pannami i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypominały mi się ciche, domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem. Po obiedzie, a raczej po wieczorze u panien, poszedłem na wieczór księżny Czartoryskiej. Jaki kontrast! Tak mi było nudno! Gadałem cały wieczór z hrabią Ludwikiem Platerem, z którym bardzo jestem dobrze. Żona jego prosiła mnie, abym przyszedł do nich którego wieczora i co przeczytał. Śliczna propozycja! Właśnie teraz więcej niż kiedykolwiek uciekam od salonowej reputacji.

Pisał do mnie Odyniec. Tłomaczy *Lalla Rookh* Moor'a. Byłem na obiedzie, dawany na imieniny kutasów u butów.

Przez cały czas bardzo się dobrze prowadzę; żadnych zbytków i wyboczeń. Nie mam czasu nic czytać. Nic nie piszę, to dowodzi, że mam zdrowie i siły; przynajmniej taki jest barometr mego zdrowia. Dodałem kilka scen do *Minowy*. Spodziewam się, iż wkrótce ze sprzedaży dzieła zbiorę dosyć na wydrukowanie *Lambra*, a wtenczas ruszam do Neapolu; tam siedzę i patrzę na morze. Oto są do końca marca szczęśliwe mego życia.

Dnia 25 marca, niedziela. Był to dzień, przeznaczony na obchód uroczysty urodzin naszej wileńskiej kuzynki. ¹⁾ Z rana odebrałem list z wielu podpisami, między którymi znajdował się Julliena starego, list zaklinający mnie, abym na posiedzeniu literackim czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem ode, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette przydawał; wszyscy czytali po francusku, kutas ²⁾ także. Czytano wiersze francuskie, potem na końcu wiceprezes, obracając się do zgromadzenia, rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana S., aby zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz, stojąc, mówił... Cóż?... Trudno opisać; rzuciłem całym zgromadzeniem — potem rozlałem wiersz ody i powiedziałem jedną śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach — znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z *Lambra* wyjętą. Wypiszę ją tu:

Ja będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywie ogień, jeśli jest w iskiecie...

¹⁾ Litwy.

²⁾ Lelewel.

Tak Egipcjanin w liście z alosu
Obwija zwiędłe umarłego serce —
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż tym liściem serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybiję,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie;
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

Po skończeniu prezes ścisnął mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę. Starzec interesujący. Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko zrozumieeli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić; i znów spojrzałem i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował. Potem słyszę głos jednej damy, po polsku pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani Białopiotrowicz, ¹⁾ którą w Dreźnie znałem. Ta, skoro mnie postrzegła, przybiegła z krzykiem: «Ach, serce pana!»... Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jej moje serce podoba; potem wymawiała mi, że u niej nie byłam, potem zapytała, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres. Gdybym był go miał, to ręczę, że w pugilaresie znalazłbym coś ciekawszego, niż adres, bo to sawantka. Ale ja z najzimniejszą krwią wziąłem ze stołu pióro i kawałek papieru i dałem te materyały nieromantyczne, co znacznie wenię jej osłabiło, tak, że tylko o mieszkaniu samem dowiedziałem się.

Potem w kilka dni byłem na wieczorze u Platerów, gdzie znów od obojej płci zbierałem pochwały, gdzie pan Jullien znów się do mnie przysiadł i upewniał, że ode zrozumiał. Dowiedziałem się, że już jeden z Polaków temperuje pióro, aby rozbiór moich poezji pisać. Lemaître, jeden z francuskich poetów, wziął do tłumaczenia mego *Muicha* i *Araba*. Skibicki pisze artykuł do *Revue Encyclopédique* o moich poezjach, i tam będą umieszczone dwa Lemaître tłumaczenia.

5 kwietnia, czwartek. Cholera w Paryżu. Zrana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną. Chłopiec mały 15-letni umarł na cholerę. Musiałem pójść do salonu cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wystawcie sobie, że, kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rzemieślnicy stali wokoło bladzi i przerażeni, tak, że nikt się tknąć chorego nie ważył, moja kochana Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo; gdy się o tem dowiedziałem, chciałem

¹⁾ Kunegunda z ks. Giedroyców, siostra autorki Łucji Rautenstrauchowej.

gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować; szczęściem, że rozważa przybyła mi w porę.

Dnia 6 kwietnia, piątek. Z rana byłem na mszy żałobnej, którą jeden z moich przyjaciół kazał odprawić za zmarłego ojca. Celebrował ksiądz Praniewicz, Polak, żmudzin, który aż po Ameryce waleśał się i od 5 lat w Paryżu usługę ołtarzową pełni. Wielki oryginał. Potem ksiądz zaprosił nas na śniadanie do siebie, ale fraszka śniadanie. Ksiądz jest poetą; pisze, drukuje, czyli sztychuje z muzyką swoje wiersze i te nam śpiewał przy fortepianie; nic dziwniejszego, jak ta melodia. Najwięcej mi się podobala strofa, w której Poniatowski mówi do przechodnia:

Jakom marszałek francuski,
Narodowi temu wierny,
Z moimi-m szedł na kraj pruski,
Przez Sassy, ów naród mierny.

I ja i Skibicki otrzymaliśmy po egzemplarzu dzieł, przy których Baka byłby tak mierny, jak kraj saski. Ksiądz sądzi, iż jest wielkim poetą; pochwały nasze utwierdziły go w tem mniemaniu. Była to jednak dla mnie scena nauczająca mnie, aby mniej ufać miłości własnej, mniej pochwałem cudzym, scena bardzo potrzebna, bo, czy uwierzycie, że, dowiedziawszy się o śmierci Goetego, pomyślałem sobie, iż Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezję, miejsce zrobił na świecie... Matko moja, widzisz, jak szczerze piszę ten dziennik, piszę nawet głupie moje marzenia. Niech ci przynajmniej, kochana Matko, te listy dowiodą, jak ciebie kocham, jakbym chciał, abym się do szczęścia twego mógł przyczynić. Ale lękam się mówić częściej o Korze, bo-bym was znudził, a jednak, pisząc szczerze, i o niej mówić muszę.

Dnia 7 kwietnia, sobota. Ze Skibickim chodziliśmy do szkoły gimnastycznej, gdzie znaleźliśmy Błotnickiego z jego pupilem, ¹⁾ który się tam uczy. Sienkiewicz, dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezję, pisał do Błotnickiego z Anglii, kazać mi się kłaniać i prosić, abym mu jak najprędzej poezję moje przysłał, bo je chce na angielski język tłómaczyć. Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wzięść za to znaczne pieniądze, i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej wyjdą, niż ja. Miło mi wreszcie, że to Sienkiewicz ²⁾ tłómaczyć będzie, i mimowolnie przypomniałem sobie Mikulskiego, ³⁾

¹⁾ Ks. Witoldem Czartoryskim.

²⁾ Jan Karol Sienkiewicz, bibliograf i historyk.

³⁾ Karol Mikulski, prof. liceum Krzemienieckiego.

który mi radził niegdyś poezji zaniechać, mówiąc, że Sienkiewicz daleko większym odemnie był poetą, a przecież tego blahego i głupiego rzemiosła zaniechał. Wykolę kiedyś oczy Mikulskiemu, posyłając mu po angielsku tłómaczone moje poezje.

D. 8 kwiecień..., niedz.. Zacząłem dziś rano pannę Korę po polsku uczyć; dziwne prawdziwie moje lekcye; starsza siostra bardzo z tego kontenta. Przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się wykształcają; chce więc zapewne, aby się panna uformowała. Bardzo dobrze. Zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem; dziwna dziewczyna, mówiłem wam, że Hiszpanki ma zakrój. Wieczór ze Skibickim na włoskiej operze; pierwszych w Europie słuchałem śpiewaków, a jednak nudziłem się i ze Skibickim kłóciłem się przez cały ciąg sztuki o włoską i niemiecką operę; ja byłem za ostatnią. Grano *Il Pirata* Belliniego, i *Othello*, operę Rossiniego. Rubini, pierwszy śpiewak, nieporównany.

D. 9 kwietnia, poniedziałek. Skibicki po wczorajszej kłótni przyszedł do mnie o 12-iej w południe i pociągnął mnie na koncert historyczny w konserwatorium muzycznym. Dziwne to jest zjawisko — koncert historyczny. Pan Fétis, professor, czytał rozprawę o sztuce oper od najdawniejszych czasów, a po każdej z trzech rozpraw następowały przykłady przez pierwszych śpiewaków, i stare sztuki śpiewane były przy tych instrumentach, których dawniej używano. Nic piękniejszego dla mnie, jak słyszeć Rubiniego, naśladującego starego jakiegoś śpiewaka przy akompaniamencie klawicymbatu, harf i wioll. Wystawić sobie nie możecie, jak to interesujące, jak miło wpada w ucho postęp sztuki, jak widać każdy przeskok do doskonałości, jak się wreszcie ładnie wydawały arye Webera i Rossiniego, na końcu śpiewane. Ścisnąłem Skibickiego za sprawioną mi przyjemność; nie możecie sobie wystawić, jakim on jest dla mnie, jak mnie w świat prowadzi, jak sam pomaga do tego, abym tam był dobrze przyjęty... Otóż to koniec życia dawnego Julka Słowackiego.

D. 12 kwietnia, czwartek. Mam poezję moje, i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskończonych przyjemności.

Matko moja, cóż ty, cóż wy wszyscy o waszym Julku powiecie? Matko moja, zdaje mi się, że ciebie te poezje nie zmartwią, chyba zasmucisz się temi kilka błędów drukarskich, których twój szalony Julek uknąć nie mógł. Zwłaszcza pod koniec *Żmii* błyszczą te omyłki straszliwym blaskiem. Dziś

obaczyłem u Pinnard registr ludzi sławnych, zawarty w biografii *Contemporains*. Z pod S. litery taki porządek: Skrzynec-ki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej etc. Widzicie, że w dobrym jestem towarzystwie. Ucieszyło to mnie bardzo. Jest to najslawniejsza biografia; ciekawo jestem, co o mnie pisa-ją; będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd nie wiem, z czego mnie tam sławnym zrobili. Niezadługo wyjdzie o mnie artykuł w *Revue Encyclopédique*, przyszlę wam go; na końcu rozbioru moich dzieł będzie umieszczony poemat *Arab*, tłómaczony przez Lemaitre. Posyłam wam egzemplarze z podpisami; nie wielu osobom posyłam, a to dlatego, aby moich podpisów nie pospolitować, aby te osoby, które odemnie dzieło otrzymają, wiedziały, że ja je szczególnie szanuję i ko-
cham. Na drugi dzień po wyjściu dzieł, Oleszczyński, sławny sztycharz, prosił mnie, abym mu portret mój zrobić pozwolił; jak wyjdzie, przyszlę go wam. Wierz, kochana Mamo, że ty-
le tu mam uwielbienia od moich rodaków, że mnie już kry-tyki nie nie obchodzą; martwię się tylko błędami druku, ale spodziewam się, że będę mógł przedko drugą edycją wydać i te błędy zginać. Posyłam egzemplarz cioci Franusi¹⁾ i Pułaskiej,²⁾ spodziewam się, że dla nich nie będą obojętne podpisy. A ty, kochana Matko, jakimże sposobem mógłbym ci dać poznać, że ciebie jeszcze z pomiędzy tych wszystkich osób odróżniam. Czy ty nie odgadniesz, Matko moja, co ja czułem, podpisując dla ciebie egzemplarz? Wiem, kochana Mamo, że tobie to zrobi przyjemność, że, kiedy będą chwalić Julka, to wreszcie uwie-rzysz, że to nie czynią osoby dla oszukania łatwowiernie ko-
chającej Matki. Teofilu, Hersyllo, widzę stąd mój egzemplarz naprzód na waszym stoliku, a potem w szafce, w pokoju, gdzie ja kiedyś mieszkałem. Widzę czasem Dziadunia i Ba-bunię, kiedy w swoim pokoju przy oknie czytają fatalachy, przez Julka przysłane. Teofilu, gdybyś ty malował miniatury, prosiłbym cię, abyś mi teraz Mamę, Dziadunia, Babunię, siebie, Hersylkę i Melankę przysłał. Teraz, kiedy jestem oddalony od was, byłoby to dla mnie największą przyjemnością. Byłbym czasem wpośród was. Posyłam ci, kochana Matko, 50 egzem-plarzy na sprzedaż i 13 egzempl. z podpisami dla różnych osób.

Dwa tomy kosztują złotych 18, czyli dukata. Pamiętajcie ani groszem taniej nie sprzedawać, bo na tym będzie cierpiał

¹⁾ Franciszka Słowacka, siostra Euzebjusza Słowackiego.

²⁾ Joanna Pałuska siostra Januszewskiej, babki Juljusza.

mój honor; nie miłość własna, ale honor, bo księgarze, do-wiedziawszy się, że kto inny taniej sprzedaje, powiedzą, że-mich oszukał. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi; ja jestem szczęśli-
wy, i gdyby nawet 2000 franków wydane na druk dzieła, nie wróciły się, to powiem, że nie drogo szczęście kupił. Wreszcie, kochana Mamo, weź tyle egzemplarzy, ile ci potrze-ba dla rozdania osobom, które Kocham. Adieu, adieu! Proście
pana Będzińskiego, ¹⁾ aby sprowadzenie paki z książkami, któ-rą dziś przez dyliżans wysyłam, ułatwił.

15.

Paryż, d. 30 lipca 1832 r.

Najdroższa Mamo! Trudno, trudno mi opisać mojej rado-ści, jaką miałem z ostatniego listu; więc czytacie już moje książeczki! Ty, Matko, może masz czasem jaką chwilę, w któ-rej uczucie dumy jest pociechą sieroctwa! Jest to najpraw-dziwszy wiersz Mickiewicza. Ale czemuż w liście, tak dla mnie interesującym, znalazłem kartkę czystego papieru; czemuś mi, Mamo, nie powiedziała, którąś naznaczyła kartkę ołówkiem? Jakby mi było miło szukać u siebie téj samej kartki! Zda-nie Mamy o nich jest zupełnie słuszne, ale przeczuwam, że po-strzegany przez Mamę brak w całościach jest skutkiem roz-pierzchłych pieśni *Żmii*; muszę więc tu wam wyznać, że ten nieporządek w układzie jest koniecznym, że *Żmija*, zdaniem mojem i wszystkich, jest najdoskonalszym z moich poematów. Jeden z najslawniejszych naszych krytyków powiedział o mnie, przeczytawszy *Żmiję*, że cały naród ożył w pieśni, że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wznio-słem. Cieszy mnie, że *Żmiję* wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się... Kniazievich chory ozdrowiał przeczytawszy pieśń pierwszą, i skoczył z łóżka do czytającego; a jene-rał Umiński pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku «sumak», bo chciał jechać do *Jardin des Plantes*, aby to zwierzę widzieć...

Poezyjom moim winienem pierwszą wizytę jenerała, ²⁾ któ-ry kościół antokolski stawiał, i miło mi było, że ten człowiek, najwięcej szanowany, zrobił mi tę grzeczność... Piszę tu te blahe okoliczności, ale je piszę tylko dla Mamy...

Tragedya «*Mindowe*» wiem, że bardzo słaba, oprócz kil-ku scen... Znajdują tu, że nie mam dramatycznego usposo-

¹⁾ Jan Będziński, muzyk.

²⁾ Ludwika Michała Pacy.

bienia, ale to przypisuję ich nieobeznaniu się z nowym dramatycznym rodzajem; oni przywykli do wiersza *Barbary* i nie wiedzą, jak wiele jest sztuki w wierszu przekładanym *Maryi Stuart*; lecz kiedyś dobry aktor da uczuć słowa, wyrywające się z duszy, powiąże duszą te rozmowy, które teraz zdają się polamane...

Początek *Jana Bieleckiego* jest nie do rzeczy... Jednak Bielecki jest najbardziej chwalony przez wielką liczbę, której takiej cichej poezji potrzeba. Ludwik Plater, hrabia, przerażony jest bezbożnością *Mindowy*. Bigot!!! Równie krzyczy na moją bezbożność Włodzimierzowa Potocka; spodziewam się, że taki sąd wszystkich dam nie będzie...

Egzemplarze rozpraszajcie tak, aby latały z rąk do rąk, a nadewszystko do Lit. i W. Mamó moja, choćbyś miała dwa egzemplarze, to jeden poszlij Ludwisi, koniecznie, koniecznie!

Nagrobki będę się starał w przyszłym liście umieścić, ale nie tu ciekawego niema w nagrobkach; wszystkie na jeden kopyt, z białego marmuru, jak małe kapliczki... Cóż więc po nich, kiedy białego marmuru nie macie! A wreszcie żądanie nagrobków to mnie przeraża... Czyż myślicie uciec z tej ziemi wprzód, nim ja do was powrócę? Czekajcie, ja wrócę — i razem pójdziemy!...

Piszcie mi o Julce!... Nieszczęśliwa!... Porównywaną ją z Olesią: szczęście i nieszczęście jednakowym dla nich było ciosem, ale szczęśliwa umierała z boleścią, gdy nieszczęśliwa skona z pociechą, że wszystko zakończy... Myśląc o Jasiu, napisałem ukraińską dumę o Emirze Rzewuskim i zbieram wiersze do następnego tomu...

Teraz, kochana Matko, będę ci pisał wyjątki z mego dziennika, tylko nie zdradź Mamó mego zaufania i nie dawaj czytać obcym tego listu!

12 t. m. Od spotkania się w ogrodzie zaczynam znów widywać się z Korą... Bawi mnie bardzo jej otwartość: wszystko mi gada, jak pacierz; bywam więc często z rana u tych panienek i często przez długie siedzę godziny... Młodsza siostra, Nelly, powiedziała mi, że czytając «Korynnę», wyobrażała sobie, że ja muszę być podobny do Oswalda. To samo mówiła mi kiedyś Kora; widzicie więc, że temu zgodnemu sądowi muszę trochę wierzyć... Po przeczytaniu romansu *Pelham* przez pana Bulwer, z zamyślenia oswaldowskiego przeszedłem trochę do dandyzmu i dziś właśnie udała mi się moja rola w ogrodzie Tuilleries: pierwszy raz ubiorem zwróciłem oczy dam, bo miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową w ogromne, różnokolorowe kwiaty,

tak, jak dawne suknie damskie, i kołnierz od koszuli odłożony; do tego dodajcie laseczkę z pozłacaną główką i gansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka... Jeden z moich kolegów słyszał nawet damę mówiącą: «Jaki ładny kostium!» I tak przybliżyłem się do kompanii Ludwików Platerów i kilka słów powiedziawszy, odszedłem, pewny, że powiedzieli o mnie: *Quel fât insupportable!* I zapytasz zapewne, Mamó, dlaczego to robię? Oto dlatego, iż raz zostawszy poetą, chcę ująć powszechną nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały... i nie chcę, aby mię tak, jak Mickiewicza, do domu gry nie wpuszczono, bo go służący wzięli za lokaja i dali odpowiedź, że ma źle zawiązaną chustkę... Choć tu użyłem takiego przykładu, winienem dodać, że nigdy do domów gry nie chodzę; byłem tylko dwa razy w nich z uczciwym towarzyszem i dla próby przegrałem raz 30, drugi raz 10 franków.

16 lipca. Zienkowicz, o którym wam pisałem, że ma suchoty, ten sam, co miał pojedynek, wyjechał na mieszkanie do Wersalu dla czystsze powietrza. Pisuje do mnie co dnia; ja też mu odpowiadam, i często wierszami robię gryzące obrazy naszych tu ziomków... Nie uwierzycie, jakie zebrańie głupców; zwłaszcza litewskie posły są nieporównani... i to mnie trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem... Poeta Gorecki siedzi w Ems, Mickiewicz blisko jest Paryża i o paszport się stara, bo tu nas do stolicy puszcząć nie kazano... Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki, czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy kiedyś bawić naszych rodaków za przyjazdem do kraju.

20 lipca. Byłem na wieczorze muzycznym u panien Pinard. Widziałem, że Kora uprzedziła dobrze o mnie panienki, bo patrzyła na mnie z ciekawością. Anaïs, najstarsza, uprzedziła mnie, żebym ściśle strzegł mego serca, bo mi go jedna z panienek śpiewaniem ukradnie. Nieszczęściem, panienka owa była zakatarzona, i z sercem nie przeszytem strząła usługę, a może dlatego, że była nieładna... Zły byłem na Korę, że się koło mnie ciągle kręciła, i, kiedy mnie prosiła, abym przyszedł we czwartek, odpowiedziałem «zobacz» z najzimniejszą krwią. Odebrałem znów list z Wersalu. Wspominam o nim dla tego, że słowa, napisane na końcu: «*twój do śmierci*», przez człowieka, który wie sam, że jest jej tak blizkim, dziwne na mnie i wstrząsające uczyniły wrażenie... Skąd ten człowiek mógł zawrzeć w dwóch słowach tyle poezji?! Znów mi przybyło 250 franków za moje poezye, i już robię projekt: jechać do Marsylii nad morze. Tu

muszę wypisać słowo w słowo z dziennika dzień przepędzony w Wersalu, dlatego, bo różni się kolorytem od innych, bo ci, kochana Mamo, da najlepiej mnie poznać... Gwałt sobie zadając, nie opuszczę w dzienniku żadnego słowa; ty pojmiesz, Mamo, jak wielką z mojej skrytości robię ofiarę...

Dnia 23 lipca. O godzinie 11 z rana wyjechałem do Wersalu, który leży o 2 nasze mile od Paryża. Zienkowicz wyszedł na moje spotkanie, ale w drodze zminął się ze mną; przyjechawszy więc, nie zastałem go w domu, lecz wkrótce nadszedł. Mieszkanie jego zupełnie wiejskie. Za domem ma niewielki ogródek, trochę dzikimi chwastami zarosły i opuszczony, ale bardzo miły dla mnie, bo właśnie w tych dniach, pisząc moje pamiętniki dzieciństwa, tak się rozmarzyłem w przeszłości, że koniecznie dzień jeden musiałem przepędzić w wiejskim cichym domu, i ogródek pięknym mi się wydawał. Było tam kilka winogradów rozpiętych na murze, morel owocem okrytych, kilka kwitnących róż, groszki pachnące, i wokoło mur szary, a w kącie ławka z drzewa szara i nadpróchniała, gdzie córka gospodyni musi co dnia szyć i pracować, bo koło ławki widać dwie zachowane na pniu róże, blade i już osypujące się z liści. Na tej ławce usiedliśmy i, często przerywając rozmowę, zastanawiałem się, słuchając tej wiejskiej ciszy. Wszystko było zgodne z tą ciszą, nawet ten młody człowiek, który siedział koło mnie i oddychał ciężko, blade, i za kilka tygodni może także cichy i śpiący. O piątej godzinie siedliśmy z nim do domowego obiadu; jak zwykle u chłopców, było dobre wino, porter angielski, a wtenczas rozmowa zaczęła się weselsza. Do stołu posługiwała nam córka gospodyni, 13-sto-letnia dziewczynka, bardzo do Hersylki podobna. Stawałem w jej obronie, ile razy mój towarzysz, jak zwykle, cierpki trochę w chorobie, gniewał się na nią za uchybienia, w potrawach popelnione, bo często widział, że nie dopełnili jego rozkazów, gdy chciał, aby potrawy litewskim były zrobione sposobem. Chcąc raz dziewczynkę zmieszana wywieść z ambarasu, poprosiłem ją o pachnący różowy groszek, zatknąć w jej pelerynce. Wybiegła do ogródka i narwała mi mnóstwo groszków, ale w przyniesionym bukiecie poznałem groszek, który zniknął z jej pelerynki, bo wszystkie inne, może umyślnie, przez nią były zerwane ciemniejszego koloru... Udać, że tego nie postrzegłem, powiedziałem do niej: «Ja nie o te kwiaty, ale tylko o twój różowy groszek prosiłem». Uśmiechnęła się, zarumieniała i odpowiedziała, pokazując na bukiet: *Il est là; oh, vous le reconnaissez bien.* Bardzo mi

się podobała ta delikatna scena i bądź pewną, moja Mamo, że żadnym słowem nie zniszczyłem jej uroku.

Potem Zienkowicz sporządził litewski kalisz, taki, jakiego go w Wilnie pili: było tam piwo, porter, wino, syrop z konfitur, cukier, cynamon, cytryna i grzanki, słowem, było wszystko, co tylko się mogło w wasze pomieścić, a tak był dobry, że się nawet mojej dziewczynce podobał... Po obiedzie poszliśmy do królewskiego pałacu, a kiedyśmy wychodzili, dziewczynka wyszła za mną na ulicę i patrzyła długo. Odwróciłem się z daleka, uśmiechnąłem się i lekko schyliłem głowę... Chodziliśmy długo po parku, i słońca krąg czerwony zachodził za drzewami, tak, że nań patrzeć można było; o godzinie 9 tej wsiadłem do dylansu i tak szczęśliwie, że sam jeden w nim jechałem. Przez całą drogę marzyłem... Jeżeli chcesz, Mamo, wiedzieć, o czym — to o dziewczynce... I wkrótce ujrzałem coraz gęściejsze latarnie, potem Elizejskie Pola, a potem ogłuszył mnie huk miasta. O godzinie 11-tej wysiadłem na oświeconej gazem ulicy Rivoli. Wracając do domu, ujrzałem w jednej bramie starca w porządnym surducie z tak schyloną siwą głową na piersi, że twarz dojrzeć nie można było... W obu rękach trzymał kapelusz; ciemność nadawała mu jakąś wielkość nieszczęścia. Wrzuciłem mu do kapelusza pieniąż miedziany, bo mi przyszła myśl, że to może być udana wstydzącej się nędzy postać. Stał nieporuszony, milczał. Odszedłem. Wstyd mi było myśli, krzywdzącej starca; wróciłem więc i rzuciłem do kapelusza pieniąż srebrny. Milczał; to milczenie tak mnie zastanowiło, że, gdybym miał pieniąż złoty przy sobie, wróciłbym i chciałbym być, żeby jeszcze raz milczał. Kochana Mamo, nie czytaj nikomu tego listu, bo mnie wezmą za głupca, że, będąc w Paryżu, piszę o dziewczynce, co mi dała groszek, i o żebraku, który, milcząc, przyjął jątnużne.

Dnia 28 lipca, sobota. Właśnie kiedy wychodziłem rano z domu do panny Kory, portyer mój oddał mi list od Mamy, w którym wiadomość o dojściu moich poezji. Czytałem go, idąc ulicą, i z twarzą wesołą wszedłem do panienek; opowiedziałem im o mojej radości i cieszyły się ze mną. Kora bardzo często wypytuje się o Mamę. Anaïs zawsze mi donosi, co o mnie Polacy, drukujący tam różne dzieła, mówią, i tą razą powiedziała mi, że Podczaszyński chwalił się jej, że mu dałem moje poezje, że mówił jej, jak mnie kiedyś na rękę nosił, jak mnie kobiety i panienki psuły; na co mu Anaïs odpowiedziała, że nie widać po mnie, abym był zepsuty, bo jestem bardzo *aimable*. Podczaszyński wydaje pisemko po polsku, co tydzień wychodzące.

Odebrałem list od Zawierskiego, drugi, w którym tak mi źle Francję południową wystawia, że mój projekt jechania do Marsylii upadł. Kiedym o tym panienkom powiedział, Kora zrozumiała się, bo myślała, że to jej prośby mnie zatrzymują w Paryżu...

Dziś i jutro obchodzą tu rocznicę rewolucji. Są fety dla ludu; chodziłem po obiedzie na Pola Elizejskie i widziałem, jak się lud francuski bawi, jeździ na drewnianych koniach, i na maszty oblane mydłem pnie się po zawieszony na nich zegarek albo łyżkę srebrną! Wieczorem chodziłem po iluminowanym Tuilleries ogrodzie...

D. 29 lipca. Na czołnie przypatrywałem się fajerwerkowi pysznemu: cały jeden most w chwili okrył się sztuczno-ogniowymi gmachami i z pod tych gmachów ognista, jak most długa, spadała do Sekwany kaskada... Potem wszystko ściemniało i znów wybuchnął bukiet olbrzymi. Chyba Wezuwiusz będzie piękniejszy... Fajerwerk aż do krawędzi czołna, na którym siedziałem, w wodzie odbijał się i złościł Sekwanę. Potem przez kilka ulic, wiodących do Sekwany, przebiec się nie można było, tak były zapelnione powracającym ludem. Przez całą noc spać mi nie dawały wysadzane po ulicy petardy, bo tu takim sposobem lud radość okazuje. Były tu także dla ludu wyścigi konne, wyścigi pieszych żołnierzy i jeleni, ale tych nie widziałem: nie chciało mi się mieszać w tłum ludu, którego ta wolność uczyniła nieznosnie grubiańskim. Przez niegrzeczność starają się próbować, czy równość trwa zawsze...

Dziś, zaledwo wstałem z łóżka, ujrzałem z wielkim zadziwieniem wchodzącego do mnie Henryczka Ch. Przez kilka godzin opowiadał mi o swoich przygodach... Mówił mi, że pisze w tych dniach do rodziców. Dobrze wygląda, zdrów, wesół, i teraz nie mogę go w domu zastać, tak się włóczy po Paryżu.

Przyjechał tu także Bohdan Zalewski, poeta, wielu innych z waszych stron. Czyście odebrali mój list ostatni, przed miesiącem pisany, z listem do siostry Skibickiego? Mój portret jest źle zrobiony, ale podobny bardzo; zdaje mi się nawet, że mu niewłaściwie Teofil wadę w oczach zarzuca.

31 lipca. Spotkałem dziś rano Bohdana Zalewskiego; zaszedł mi drogę i poznał z daleka, choć bardzośmy się mało znali przedtem... Zaproszony dziś byłem przez jednego z moich kolegów na angielski obiad, który mi zupełnie Anglią przypominał, tylko pani Gordon nie było... Właśnie rok temu przejeżdżałem przez Paryż — nie, raczej wczoraj rok.

Mickiewicz dziś przyjechał do Paryża, ale nie pójde pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze...

Kochana Mamo, napisałem list do Ludwisi Śniadeckiej. Odeślij ten list, moja Mamo, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... O, gdyby ona odpisała do mnie!... Ale nie spodziewam się... Tylko co napisałem ten list, i dlatego widzisz tu, Mamo, tak przerywane frazesa: pióro rozkołysało się. Smutno mi, ale co robić?

Jutro pójde do Kory. Może, kiedy mi zacznę patrzeć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy, choć dalibóg nie kocham jej... Przyszedszy do domu, zastałem bilety wizytowe Skibickiego i Sienkiewicza; z tych się dowiaduję, że Sienkiewicz przyjechał do Paryża. O kuzynce nie nowego, nic dobrego; zawsze chora, jak wiecie o tem lepiej ode mnie, a ja wiem lepiej od was, że na jej słabość niema lekarstwa. List chorego niegdyś w karczmie oddałem Skibickiemu, do którego na moje ręce był przysyłany. Czy Skibicki odpisał, nie wiem.

Matko moja, kochaj mnie, kochaj! Ja się często będę starał poezjami nowymi przypominać się Tobie, bo mam zamiar ciągłym szturmem dzieł zdobywać sławę. Teofilu kochany, nie pisz do ciebie osobno, bo ty, czytając listy moje, pomyśl, że to, co do Mamy mówię, i do ciebie chciałbym powiedzieć. Chciałbym ci zastąpić choć w części Jasia...

Mamo moja, całuję Ciebie, rączki Twoje i rączki Babuni, Dziadunia.

JUL.

16.

Paryż, d. 3 września 1832 r.

Kochana Mamo! Jak wam teraz dobrze być musi tak wszystkim razem w spokojnym Krzemieńcu! Wystawiam sobie wasze koło domowe i panią Michalską z wami i Ludia i Melankę maleńką, kręcącą się koło smutnego Stasia. Jak wam teraz dobrze być musi! Koło moich znajomych także się trochę powiększyło, ale zawsze dosyć nudne. Jak mi okropnie myśleć, że kiedyś, powróciwszy do was, nie zastanę tylu osób; a tak często marzyłem, jak to ja będę kiedyś w domu Olesi, jak będę z Julką odwiedzał podrośle Julinki! Nie możecie sobie wystawić, jak to jest trudno, oddalonemu o mil kilkadziesiąt wystawić sobie, że to wszystko snem nie jest. Wilna bez Olesi, Wierchowicki bez Julki często wystawić sobie nie mogę. Cieszę się, że mój portret przypomina mnie Mamie, ale muszę tu napisać, że teraz nie mam ani ciężkiego odetchnienia, ani obłąkanych oczu — mam tylko

jakąś myśl ciągłą i ponurą, która mi zawsze marszczy lekko czoło i zdaje się wisieć nad oczyma. Przypomnij także sobie Mama, że panienska w Dreźnie, kiedy mój portret zobaczyła, powiedziała, że piękniejszy jestem od niego, i dodała, że to jest zdanie jej matki.

Dnia 7 sierpnia. Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku, a było kilka osób, którym mówił, że mnie chciałby widzieć; starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać... Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie... Mickiewicz improwizował, ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem; przypominał mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszcześliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypominał mi, że mu Małowski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę — jeden z Polaków, stojący za mną i podchmielony zapewne, powtarzał, jak echo: «Nadto jesteś skromny» i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę. Podczas obiadu Cezary biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Szopen, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezycie, słowem, że dobrze nam zszedł wieczór; wielu było Wołynianów, wiele wypiliśmy szampana... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy; na takich wieczorach najpierwsi muzycy grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia i t. d. Pani Tastu jest teraz najslawniejszą poetessą francuską... Pani Allart wydała romans w guście *Korynny* pod tytułem: *Le Romain des Marèmmes*, dosyć chwalony. W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale, jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudził się śmiertelnie od 10 do drugiej w nocy; pod koniec jednak Szopen upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepiano.

Jeden z Polaków mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja poezja jest śliczna, że jest to gmach, piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema... Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? Podobne do jego sonetu pod tytułem *Rezygnacya*.

D. 27 sierpnia. Odebrałem list od was... Cieszy mnie bardzo *Żmija*, w gazecie umieszczona; chcę więcej o tem detalów... Jeżeli co jeszcze będzie nowego, nawet krytyki nie wahajcie się pisać, bo prawdziwie, że na nią jestem obojętny; dziwnie się w tem przemienił mój charakter. Henryczek zdrów, cieszy się emeryturą. Nic jeszcze z sobą nie zrobił, ale podobno ma zamiar wejść do szkoły handlowej; kto wie, czy Rotszyldem nowym nie będzie.

A propos: wyborne są brzoskwinie, o których Jan Śniadecki zawsze wspominał; kiedyś i ja na starość, kiedy z wami zasiądę do stołu, jak Jan z siwym włosom i z białymi, najeżonemi brwiami (bo brwi mi teraz trochę się zgaściły), wtenczas będę gadał o paryskich brzoskwiniach, bo wyborne, jak lody się rozpylają; najpiękniejsze po cztery lub pięć groszy naszych się sprzedają, to jest po 1½ lub 2 sous. Wydaje się to nam bardzo tanio, bo mimowolnie sous przykliśmy za grosz uważać, a frank za złoty, mało co więcej, co niezmiernie jest niedogodnem dla nas, cudzoziemców... I tak dawniej jadłem obiady po dwa franki, wyborne na pozór, ale przekonałem się, że mi szkodzi, bo w tych traktyerach skupują potrawy z innych drogich traktyerów i różnemi sposobami chronią je od zepsucia, tak, że, na stół podane, pięknie się wydają i są smaczne, ale przez długi czas używane, niszczą zdrowie. Ponieważ zaś nie życzę sobie otruć się obiadami, chodzę więc do traktyerów, gdzie *à la carte* jeść dają: sam bifsztyk tam franka bez dwóch sous kosztuje, ale przynajmniej zdrowy i posilny, a zjadłszy zupę, dwie potrawy i deser, można być sytym, obiad zaś taki dwa franki i pół, albo trzy franki kosztuje... Są Polacy, którzy po 18 sous jedzą obiad i mają trzy potrawy, deser i pół butelki wina. Boże, zmiłuj się nad nimi! W menażeryi królewskiej, gdzie dawniej co miesiąc dla zwierząt dostarczano z pewnego okręgu miasta 15 zdechłych koni, teraz tylko dwa przysyłano... więc trzynaście musiało dwunożne żywić zwierzęta.

J..

17.

Paryż, d. 4 października 1832 r.

Mamo! Teofilu! Łączę was w tym liście, bo wiem, że potrzebujecie pociechy. Ale ja nie mam słów, abym trafił mógł do waszego serca. Okropne! Prawdziwie okropne były te dwa dni dla mnie: zdaje mi się, że mnie rokiem w przyszłość posunęły. Słuchajcie, opowiem wam wiernie te dwa dni mego życia, choć może uszanowanie dla Mamy kaza-

łoby mi o niektórych rzeczach zamilczeć... Oszałam był dla jednej młodej Francuzki, która, jak zdaje mi się, dla mnie także oszałała... Nowa ta Fornarina oczarowała mnie, bo nigdy o podobnie pięknej nie marzyłem w snach gorączkowych... Wczoraj rano o godzinie 9-tej położyłem się, aby zasnąć... Zaledwo zamykałem oczy, usłyszałem stukanie do drzwi... List od was... Senny siadłem do czytania... List ten spadł całym ciężarem na rozigrane i drżące prawie zmysły... O, bo też nigdy nie podobnego nie czytałem, jak list Mamy: w nim tak ogromna poezja smutku, że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył!

Matko moja! Tyle w liście twoim prawdziwej boleści, tak wiernej, że płakałem, czytałem i znów płakałem: potem na kawałku papieru, leżącym na stoliku, napisałem trzy nagrobki, i posyłam je nieprzemienione... A potem zeszło się do mnie wiele osób i musiałem gadać przez dwie godziny o obojętnych rzeczach. A twarz moja była tak zmieniona, że pierwszy, co wszedł, powiedział: «Ty musiałeś dziś noc waryaką przepędzić,» a potem, drugi raz spojrzawszy na mnie, rzekł: «Przepraszam cię za moje słowa, ty musisz mieć smutną jakąś wiadomość.» Tak twarz moja zdradza mnie przed ludźmi. Darujcie mi, że tak, jak były pomieszane w życiu mojem uczucia i zdarzenia, tak je w tym liście piszę... Nie dawajcie mi napomnień, bo zbieg tych dwóch okoliczności przerażającą był dla mnie nauką... Ale jeszcze nie wszystko... Teofilu! Znoś nieszczęście, a Bóg ci pobłogosławi: ty będziesz kiedyś, tak, jak twój rodzice, widział trzecie z dzieci twoich dzieci. Bo nasza rodzina nie popełniła zbrodni, za którą ją mógł Bóg karać... A spojrzij na twoich rodziców: wszak i oni dziecię małe niegdyś stracili, a czyż kiedy o nim wspominają, zaleją się łzami? Wszak nawet nie wspominają o nim, a ja, wnuk ich, który z niemi przepędziłem lata, nie wiem nawet, jak się to dziecko nazywało...

Teofilu! Wierzą mi, my będziemy szczęśliwi; zostanie nas mało, ale będziemy siebie kochać przywiązaniem, z wielu osób przeniesionem na jedną, dwie lub trzy osoby... Żebym ja był szczęśliwym, tobym wam może przywiązaniem dzieci zastąpił. Ale ja złym jestem kaznodzieją szczęścia; te dwa dni mną całym zatrzęsły, a kiedy to piszę, zalany jestem łzami... I czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną, egzaltowaną rozkosz. Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do lu-

dzi, a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka.

Zmęczony porankiem dnia tego, poszedłem na obiad; jadłem gwałtem wiele i piliem, aż póki mi się w głowie nie zakręciło, i wróciłem do domu; a wieczorem przyszedł do mnie Michał po list i gadałszy długo. Musiałem mu przeczytać list Mamy i, gdy przyszedłem do miejsca, gdzie Mama o naszych portretach piszesz, rozplakałem się. I on lży miał w oczach; a potem wspólnym rozjechaliśmy się śmiechem i powiedzieliśmy sobie: «*Cette vie c'est une farce un peu trop lourde.*» Tak młodzi ludzie tego wieku kończą smutne uczucia bluźnierstwem. W dziwnem byliśmy oba usposobieniu i może dlatego napis dla Jasia straszne na nim sprawił wrażenie, i powiedział, że chciałby umrzeć dla takiego nagrobku.

Na drugi dzień, to jest dzisiaj, wstałem rano i skomponowałem rysunek, który posyłam. Wiercie mi, że z cmentarza *Père la Chaise* żadnego nagrobku przenosić do was nie warto. Ten zaś, który tu wyrysowałem, zdaje mi się pięknym. Macie kariery kamieni, będzie więc może nie nazbyt trudnym do zrobienia; chciałbym, żeby w ściany wnieść kilka ułamków naśladowanych z kolumn, żeby się ten grób wydawał, jakby z gruzów i kamieni ułożony. Jeślibyście tego nagrobku nie zrobili, to go dla mnie zachowajcie. Jeżelibym zaś umarł za granicą, to wtenczas każe testamentem zrobić sobie krzyż ogromny, z jednego kamienia chropowato wyciosany i nad nim cyprys posadzić i po łacinie imię moje na krzyżu napisać.

Kiedy grób rysowałem, przyszło do mnie dwóch znajomych; odwiedzają mię teraz często, bo w założonym towarzystwie, w wydziale literackim, Mickiewicz jest prezesem, a ja radcą wydziału... Właśnie mi w porę przyszła praca, kiedy nic robić nie mogę. I tak pan radca siedział, gadając o zajęciach się literackich. Wtem przyniosła mi list... Spojrzałem na kopertę: list był z daleka, ze stron, gdzie się wychowałem, z czarną pieczętką, na której cyfra L. S. Nie możecie sobie wystawić, jak się przeraziłem! Mimowolnie przy obecnych gościach list konwulsyjnie zgłotłem, tak, że się pieczętka rozsypała, a potem położyłem go na stoliku i patrzałem pomieszany na moich gości. Zrozumieli mię i wyszli.

Wtenczas otworzyłem list... Okropny!... Okropny! Płakałem z takim łkaniem, jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem, bo też list ten na nowo dzieckiem mnie zrobił. Smutne nadzwyczaj wrażenie uczyniło na mnie opisanie jednej sceny.

Antosia czytała *Mnicha* i *Araba* dla Zosi B.; Julka patrzyła, jak Ludwisia wyszywała kwiaty do ołtarza na grób matki. Ludwisia spytała Julki, czy pamięta Julka Słowackiego? Powiedziała, że pamięta, że on był bladej, miał czarne włosy i bawił się z dziećmi..

Świat ten, w którym starsi zapominają, a dzieci pamiętają, *c'est une farce un peu trop lourde*. Te dwa dni były dla mnie prawdziwą szkołą uczuć i smutku, a kiedy wychodziłem z domu, to mnie coś tak korciło wrócić do tych dwóch listów, jak gdyby czekał na mnie w domu przyjaciel, co zwykł gorzkie, ale zbawienne mówić prawdy. I tak całe dni były wypełnione odczytywaniem tych listów, że nie przeczytałem słowa z książek interesujących, które leżały na moim stoliku. Te dwa dni tak daleko odepchnęły wszystkie inne, że nie wiem, co o nich mam pisać. Posyłam list do Ludwisi; ostatni to będzie, i już dosyć tego...

Piszesz mi Mama w poprzedzającym liście, abym trzeći tom drukował. Muszę się wprzód z kasą porachować, bo tu pieniądze leżą a leżą, wasze zaś milczenie o interesach przeraża mnie. Może ty, Mamo, cierpisz niedostatek? A wtenczas, pomyśl, jakby to okropnie było, gdybyś to kryła przedemną, gdybym sobie wyrzucał każdą uciechę. Teraz już nawet po ostatnim liście Ludwisi i sławy mi się nie chce. Nie wiem, jak ja bez tego ostatniego uczucia na świecie zostanę; może powróci. Z Korą także rozstaliśmy się; nie gada do mnie. Nie kochałem jej, spostrzegła to, i widać że dumna dziewczyna; ale widzę ją czasami, zawsze coraz bardziej blada... Szczęściem, że zima nadchodzi, będzie więc tańcować, a ma lat tylko 16 i ładna, więc zapomni...

Pan Barateau, poeta, kuzyn ich, po przeczytaniu moich francuskich wierszy między innymi komplementami powiedział: *Ah, si je savais écrire des vers français comme vous!* Powiedział to wobec koteryi, która go przywykła uważać jako wyrocznię, a zatem to wyznanie musi być prawdziwe...

Przyjechał ks. Cz. do Paryża. Byłem u niego z ranną wizytą; przyjął mnie nadzwyczaj grzecznie, bo się wprzód kilku osób pytał o mnie. Wiersze moje czytał u wód, nad morzem, w Anglii. W ciągu rozmowy pytał się o Mamę; zaprosił mnie na koniec na niedzielę na wieczór. Byłem na tym wieczorze. Było tylko kilkanaście osób płci męskiej i kilka dam francuskich... Na wieczorze miałem z samą księżną bardzo pochlebną dla mnie rozmowę. Zaczęła się od Anglii; potem powiedziała mi: «Winniśmy panu wiele przyjemnych wieczorów. Dawny pana przyjaciel, pan Błotnicki, czytał nam z całym swoim talentem pana poezye, chociaż

te poezye nie potrzebowały talentu czytającego, aby się podobać mogły»... Skibickiemu mówiła księżna zaraz po przyjeździe, że długo nie czytała moich poezyi, bo jej hr. Ludwik Plater powiedział, iż bezbożne i brak w nich czucia; że potem, kiedy jej przeczytano *Mnicha* i *Araba*, dziwiła się, że pan Ludwik może tak źle o rzeczach sądzić. Ja się temu wcale nie dziwię, bo stary i bigot.

Zaglądałem do mego dziennika, patrzyłem, com robił w dniu 28, w niedzielę, kiedyście traciли Melankę, i znalazłem słowa: «Smutno mi, jak gdybym miał jakie przeczucie». Prawdziwie, że to jest coś niepojętego, ta magnetyczna władza przeczucia; tak przeczułem był przeszłego roku w Anglii dzień okropny dla nas, kiedy rzeź była. Śniło mi się o tej rzezi, i gdy zszedłem na herbatę, Anglicy dopytywali się mnie o przyczynę pomieszczenia; odpowiedziałem im że musiało stać się coś dziwnego w moim domostwie, i Anglicy śmiali się ze mnie; a ja triumfowałem, kiedy w dni 15 nadeszły gazety i Anglicy patrzali na mnie, jak na człowieka, obdarzonego władzą drugiego widzenia Szkotów.

Sen był d. 15; miesiąc przypomnijcie z listu, z Anglii pisanego. Od tego czasu wierzę więc w przeczucia; jest to jedna z niespokojności w życiu więcej. Teraz zła dygiestya, albo zapóźne wstanie może mi tysiąc przeczuć utworzyć. Co do projektu krakowskiego, bardzo dobry, ale niezupełnie bezpieczny.

Teofilu! Zdaje mi się, że tobie dobrzeby było w Kijowie; miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś takżebym tam rad z Mamą mieszkał, tylko żeby mi to nie krępowało mego zawodu, bo *Lambro* straszny... Ale nareszcie trzeba myśleć o punkcie zjechania się, bo tak błakać się po zagranicy, to okropnie, kiedy długo pociągnie. Zwłaszcza radbym być w takim położeniu, żebym moimi sumkami nie odpowiadał za grzechy, ani oczy stryja zwracał. On mnie zawsze lęka... Lękam się także o egzemplarze z napisami; i dla stryja tam były... Chciałbym, żeby mogły być wszystkie wszystkim rozesłane; i teraz widzę, że pani Balińska jest trochę może obrażona, posadzając mnie o zapomnienie, bo choć była tam, gdzie list pisano, a przecież ani słowa nie napisała, ani słowa nie kazała mi napisać... Jeżeli możesz, Teofilu, to się dowiedz w Mińsku o Hrehorowiczu, dawniej w Warszawie ze mną mieszkającym, i poszlij mu jeden egzemplarz, pisząc, że ja o to proszę, bo to godny człowiek. Że zaś moje wiersze nie mogą was skompromitować, to się przekonamy z tego, że teraz je Glicksberg do Warszawy sprowadza; nie wiele wprowadzi egzemplarzy, ale zawsze pisał otwarcie o nie. W tych

czasach otwartość ta nie jest moją zaletą i dla tego muszę koniecznie przed Nowym Rokiem zacząć drukować *Lambra*, ale osobno, nie jako tom III-ci, bo nie chcę, aby tym tomoł przeszkadzał.

Ale nie czas tu pisać o błahych interesach moich, kiedy wy przyciśnięci jesteście boleściami. I znów na wasz list spojrzalem, i znów mnie przeraża, i wiersz napisany przez kochanego Dziadunia, zdaje mi się najsmutniejszym, bo on mi się wydaje, jak jakiś anioł, duch, z tamtego już nawpół świata wyglądający, który, wśród płaczących, zawsze jedno i znane mi napisał słowa: «Ja ciebie, mój kochany wnuku, pozdrawiam i powodzenia życzę». Ta jednotonność słów robi te słowa tak uroczystymi, że mi się zdają błogosławieństwem Boga... Więc, Dziaduniu kochany, kłękam przed tobą, a przyrzekam ci, że wnuk twój będzie umiał kiedyś, jak twój syn starszy, dług wypłacić, którego ty dla starości wypłacić nie mogłeś... I ty, kochana Babuniu, nie wstydz się wnuka wierszokłety, bo on oprócz wierszy ma jeszcze do rozrządzenia życie, a może Bóg mu pozwoli skonać, jak skonali...

Teofilu! Hersyko!... Nie, do was nic nie napiszę... Płakałem... Mamo kochana! Czuje, jak tobie teraz smutno być musi... List twój, kochana Mamo, zasmucił mię, ale razem piękność jego jest tak zachwycająca, że prawdziwie dumny jestem; i list ten, jeśli kiedyś o mnie pisać będą, wykryje tajemnicę całą, że, jeżeli miałem jaką poezję w sercu, to ją od ciebie wzięłem. Zwłaszcza to wyrażenie Mama powtarza: «Niech się dzieje wola Boga, ja zaś, wspomniawszy na ciebie, nie zdolna do wyrzeczenia słów tych» etc..., jest ogromnym obrazem matki, która nawet przed Bogiem dzieci swoje zakrywa i Bogu nawet, jeżeliby go (syna) miał zabić, broni. Te słowa miłości i przywiązania twego do mnie, z duszy wyrwane, słowami moimi zapłacone być nie mogą, lecz całym życiem.

JULIO.

20.

Genewa, d. 30 grudnia 1832 r.

Kochana Mamo! Nie masz smutniejszej dla mnie chwili, jak ta, w której przybywam do obcego miasta. Dzisiaj o 5-tej wieczór przyjechałem do Genewy, wniósłem się do hotelu «pod wielkim orłem» i, nie mogąc po nocy włożyć się po nieznanem mieście, kazałem sobie do pokoju przynieść herbaty i przy ogniu kominka marzę i piszę list ten do kochanej Mamy.

Nic jeszcze o Genewie powiedzieć nie mogę, ale zamierzam sobie długo bając o moim pobycie w dniach ostatnich

w Paryżu i o mojej podróży. Jaką mi przykreść robi ten wiatr, co szumi i wyje po jeziorze Genewskim!... Otóż powiem ci, kochana Mamo, że mnie kilka osób w Paryżu załawało. Kora płakała i z drugiego pokoju słysząc było łkanie, a kiedy wyszła do salonu, czerwone tak miała oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przede mną, że ma mocny katar mózgowy, nad czem bardzo ubolewalem.

Dwoma dniami przed wyjazdem Michał rano wchodzi do mnie i pośród rozmowy wspomina coś o wróżce sławnej w Paryżu, pannie Lenormand. Musisz ją Mama znać z reputacji, bo ona niegdyś Cesarzowi wróżyła.. Ułożyliśmy więc natychmiast projekt iść do panny Lenormand. Szczęściem wiadoma nam była ulica, gdzie mieszkała, dom zaś, w którym żyje ta Sybilla, oznacza napis nad bramą: *Librairie de Mile Lenormand*. Wchodzimy do sieni, wita nas stara dugena, pytając, czy przyszliśmy na konsultację. Odpowiadamy, że tak, i wpuszczeni jesteśmy do pokoju ładnie umeblowanego, w którym całe ściany okryte obrazami rozmaitych cudów przyrodzenia, i wśród tych malowideł wisi ogromny portret samej wróżki, w aksamitnej czarnej sukni, ze złotą u dołu frenzlą i w zamyślonej postaci odmalowany. Kilka osób, przybyłych przed nami, czekało na kabałę; słysząc było w drugim pokoju ciągle mruczenie czarownicy.

Wpuściła nas nareszcie do swego pokoju. Jak wygląda, opiszę. Jest to baba stara, lat ma ze 60, otyła, niska, z garbem na plecach, ubrana w szarej sukni, na głowie mnóstwo loków i na nich na bakier włożony ogromny czarny beret, jak męska czapka; rysy twarzy ma zupełnie polskie, trochę ciocię Pałuską przypominająca. Siadła na krześle z poręczami, przy biurku z wytartym sukniem; na biurku leżało mnóstwo kart rozmaitej wielkości. Usiedliśmy oba przy biurku. Zapytana, odpowiedziała, że ceny wróżby są rozmaite, od 6-ciu aż do 60 franków. Prosiłszy o sześć franków przyśność. A więc przynajmniej sami, że ludziom, co po sześć franków płacą za głupstwo, nie mogła wielkich cudów przepowiedzieć.

Zadała mi pierwszemu następujące pytania: «W którym miesiącu rodziłeś się?» «W sierpniu». «Którego dnia?» «23». «Jaka pierwsza litera imienia?» «J». «Pierwsza litera kraju?» «P». «Jaki kolor najwięcej lubię w ubiorze?» «Czarny». «Jakie zwierzę najlepiej lubię?» «Psa». «Jakie zwierzę najbardziej niecierpię?» «Pająka». «Jaki kwiat najbardziej lubię?» «Różę».

Na tym zakończyła i, wzięwszy talię kart zwyczajnych, ułożyła długi z nich szereg, dwie zawsze karty odrzucając.

Potem wzięła ogromne karty z dziwnymi wizerunkami i kazała mi z nich wybrać 11-cie lewą ręką, inne zaś odrzuciła. Potem z trzeciej, równie ogromnej talii, kazała mi wybrać 23 karty, z wybranych ułożyła ogromny wachlarz i z wachlarza zaczęła wróżyć, jak ekscytarz, jednym głosem i niezmiernie prędko. Wróży zupełnie pospolite: między innymi powiedziała, że będę się dwa razy kochać, że rozpocznę podróż, której mi rozpoczynać nie radzi, aż do odebrania pewnych wiadomości, że dopiero w dziewięć miesięcy będę miał stałe o losie moim wiadomości, że jestem zdatny, ale radzi mi wykończyć to, com naszkicował, że między 27 a 28 rokiem mojego życia będę bardzo szczęśliwy, że w tych latach wiele dla mnie zajdzie wypadków.

Oto są wszystkie prawie przepowiednie; ostatnie tylko dosyć interesujące. Michałowi nie powiedziała, że zaczyna podróż i, ponieważ jej mówił, że kocha konia, wróżyła mu, że się na polu walki odznaczy. Tumani baba i niczem zbywa chorych na zdrowy rozsądek pacjentów.

Po tak przepędzonej godzinie wyszliśmy z Michałem do ogrodu Luxembourg. Gadałiliśmy długo, drwiąc z siebie nawzajem, a potem mimowolnie wpadliśmy w długie zamyślenie, aż on pierwszy odezwał się: «Wiesz, szkoda, żeśmy babie nie dali po 60 franków; możeby nam co więcej powiedziała». Rozjechałem się śmiechem na te jego słowa; malowały one doskonale łatwowierność człowieka, zdradziły go aż do głębi serca; ale ja także wyznać muszę, i jemu to wyznałem, że także przez czas zamyślenia na tę samą myśl wpadłem. W wilią mego wyjazdu jeden z moich znajomych zęgnął mnie obiadem, który nie był ani smutny, ani wesoły...

Dnia 26 grudnia wieczorem z pięciu przyjaciółmi jedliśmy razem obiad w trakteryze, przy dylizansach położonym. Wybiła 7-ma godzina, i wsiadłem do dylizansu. Przyjaciele, z których jeszcze dwóch przy powozie mnie czekało, stali wokół, gadając ze mną przez okno karety... i przy świetle latarni dziwnie się wydawała postać wychudła i blada suchotnika, który się wywłókł z mieszkania i stał nieruchomy na deszczu... Widzę go dotąd przed sobą, jak mówi Szekspir, oczyma duszy mojej, choć go może oczyma głowy nigdy już nie zobaczę. Ruszył dylizans, to ogromne zwierzę, nadziane różno-narodowym tłumem, i jechaliśmy długo przez ciemne ulice, potem przez Pont Neuf, a potem przez ulice, na których nigdy nie byłam, choć blisko półtora roku siedziałem w Paryżu; i tak zakończyłem paryski epizod mojego życia. W nocy, nie mogąc rozerwać niczem swojej uwagi, przebiegałem myślą mój pobyt w tem mieście

i nic nie znalazłem przyjemnego, żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki moich poezji.

Powiem ci tu jeszcze, moja Mamo, że mnie w jednym zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażeby zostął; ale już było za późno, przygotowania do podróży były porobione. Teraz w Genewie trzeba sobie ułożyć sposób nowego życia; ale póty spokojny nie będę, póki w Genewie od kochanej Mamy listu nie otrzymam, bo list Twój ostatni przeraził mnie; on mi zatruł wszystkie myśli, wszystkie marzenia w mojej podróży; tyś znów chora, kochana Mamo, leżysz w łóżku... teraz zima... Boże, zmiłuj się nademną!...

Żądanie Mamy o przysłanie kanwy nie może być spełnione, jak przez jadącego w tamte strony, bo kanwy są kontrabandą, zatrzymano by je więc na granicy, jak towar. Wyjazd Michała bardzo niepewny. Cierpię na tem, że żadnego żądania Mamy uskutecznić nie mogę. Nie posądzajcie mnie jednak o niewdzięczność.

Ale wracam do opisu mojej podróży. Przejeżdżałem przez ładną Francją, ładną nawet w zimie, bo pola, choć skrzepłe, zachowują jednak zieloną barwę. W dylizansie, w którym jechałem, znajdowało się kilku Francuzów, którzy na górach wysiadali z powozu i szli piechotą; zacząłem ich naśladować i często po całej mili uchodziłem. Co dziwniejsza, że w towarzystwie naszym znajdował się jeden sławny szybkobiegacz, który się w Paryżu popisował i któremu dotrzymywałem kroku. Towarzysze moi pierwsi znudzili się pieszymi wędrowkami, i na końcu samotny musiałem je odbywać. Wszedłszy na jedną górę, spotkałem się po raz pierwszy z zimą; murawa cała była szronem okryta. Futro u mego płaszczka obmarzło; wyrpedziłem z daleka dylizans i stałem sam jeden, a widząc naokoło skały, waszemi imionami próbowałem ich echa.

Jechałem przez Tonnèrre, Dijon, Dole; wszędzie śliczne okolice. Nakoniec trzeciego dnia, o godzinie 5 z rana przyjechaliliśmy do St. Laurent, położonego na górze Jura, skąd trzeba było wiaść sanki, aby przebyć śniegi tej góry. Sanki dano nam zupełnie do naszych bud podobne. Towarzystwo dylizansowe w dwie się budy zabrało, bo było już nas tylko czterech. Siedliśmy więc, ja z moim ciągłym towarzyszem, Szwajcarem, w pierwsze sanie, dwóch kupców francuskich w drugie; na trzecie spakowano rzeczy, i ruszyliśmy z górki na górkę. Co za rozkosz! śnieg dawno nie widziany, tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią

grożą zatoczeniem się. Co za rozkosz jechać na południe sankami!

O siódmej zaczynało się rozjaśniać. Jechaliśmy brzegiem doliny Mijou, która się kilka mil ciągnie. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają. Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tym ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna kurtyna. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz. W oberży samotnej na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie, pokrzepieni, zaczęliśmy nową podróż z góry na dół. Dostyc wam powiedzieć, że prędkim kłusem jechaliśmy z tej góry godzinę i, porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak, że spojrzawszy na otaczający nas wokoło i na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy prawie wzmówić w siebie, aby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło.

Zjechawszy z Jura, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów, w ojczyźnie Wilhelma Tella. Jechałem koło Fernej; widziałem z daleka zamek Woltera i kościółek, który Bogu postawił. Fernej mniej na mnie zrobiło wrażenia, niż sama droga. Przez dwanaście godzin, widząc śniegi wokoło, o was marzyłem; marzyłem o dawnym dzieciństwie, o dniach, przepędzonych między sosnami. Tak mi było miło i smutno razem, że wam tego wystawić nie potrafię. O półtorej mili od Genewy znów siedliśmy w dyliżans na kołach i o piątej wieczór wjechaliśmy do miasta.

Pochodziwszy trochę, znalazłem sobie bardzo ładny pensyon w wiejskim domu, o kilkadziesiąt kroków od miasta położony. Kosztuje mnie na miesiąc 130 franków bez opału. Szczęśliwie bardzo, że się do tego pensyonu dostałem, bo moi ziomkowie mają w nim dobrą opinią. Gospodyni pensyonu nazywa się Mme Pattey.

Dom, w którym mieszkam, stoi w ogrodzie, za miastem, wysoki na trzy pietra, szary, z zielonemi okiennicami. W ogrodzie najwięcej jodeł i sosen, o kilkadziesiąt kroków jezioro Genewskie, którego jednak dla innych wiejskich domów z okien nie widać.

Pani Pattey jest to stara kobieta przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuję, że, gdybym kiedy zachorował, w jej domu nie byłbym, jak obcy. Córka jej panna Eglantie Pattey, wszystkim się w domu trudni. Jest to panna, mająca około lat 30. Ładną być dawniej musiała; teraz pokazują się w niej wady starej panny. Z tem wszystkim bardzo jest przyjemną w konwersacyi i dobrze gada o wszystkich znajomych. Czułe wspomina Grocholskiego i Kosielskiego, z uśmie-

chem mówi o Ilkiewiczzu, którego także znała, a który musiał się bardzo zmienić od czasu, jakśmy go widzieli, bo wystawiła mi go panna Pattey, jako nadzwyczaj wesołego i miłego w towarzystwie.

Mam pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, biurko czeczotkowe, ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siadę, to mnie nie widać, i krzesła i stolik i piec okrągły. Okna, jak zwyczajnie w Szwajcaryi, z małemi szybami, a przed oknami dwa świerki, sosna, dąb stary, wiele krzewów, murawa, teraz nawet zielona, i kłęb z róż. Okna moje obrócone są na wschód, będę więc miał w lecie słońce; i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał słońce, zapach róż i zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz, Mamo, jak mnie te jodły cieszą, jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mię wokoło otacza. Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, aby odpocząć po trudach życia. W domu, w którym jestem, zupełnie mi uczuć nie dają, jakbym był za pieniądze, i to mi jest bardzo przyjemnie.

O kochani moi, smutno mi, smutno czasem i często, bo się już przerabiam na obywatela świata; już się ani do miejsc, ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję tak silnie, jak w dzieciństwie, i to jest jedną z wad, jakiej nabyla serce tułacza.

Kochana Mamo! O, jakbym ja chciał przez jakiego gołębia list mieć prędko, abym się o twojem zdrowiu dowiedział! Gdybyś ty zdrowa była, to może i dosyć miło przeszłoby mi te lato między górami szwajcarskimi. Teofilu kochany! Myślałem często o tobie, patrząc na śliczne góry, na cudowne widoki, które mię otaczają. Gdybyś był kiedyś ze mną posiedział, możebyśmy oba teraz u pani Pattey biedę ciągnęli, ale i dobrze, że się tak stało, jak się stało. Pomimo niezawisłości życia, jest tu wiele chwil nieprzyjemnych, a najwięcej dręczy niespokojność o los oddalonych osób. Kochana Mamo! Bądź ty zdrowa! Dziś właśnie musicie myśleć trochę o mnie, łamiąc opłatek. Jak was mało przy stole! Cóż robić! Z Babunią powtarzam: «Niech się dzieje wola boża!» A od Mamy nauczyłem się przysłowia: «Jakoś to będzie». Powinno być kiedyś dobrze. Adieu! Adieu! Adieu! Piszę do Hausnera w Brodach, posyłając mu także mój adres. Klaniajcie się wszystkim moim znajomym—i bądźcie zdrowi!

WASZ JULIUSZ SE.

23.

Genewa, 1833 r. 24 kwietnia.

O najukochańsza! Najmilsza! Nie będę ci wyrzucał teraz, co ucierpiałem, bo list odebrany wszystko zatarł radością; ale dwa miesiące, a raczej cały miesiąc drugi, tortury moralne wycierpiałem... Co dnia czekałem posłańca poczty od 11-stej do 2-giej, a od drugiej godziny, kiedy już nie było nadziei, rozpacz mię porywała. Dopiero kładąc się spać, myślałem znów z nadzieją o godzinach nadchodzącej poczty — i tak było przez cały miesiąc... A ja mógłbym być ten miesiąc jeżeli nie wesoło, to przynajmniej spokojnie przepędzić. Kochana Eglantyna cieszyła się, jak mogła; często całe ranki przepędzała na dziedzińcu, czekając poczmistrza... często, widząc go mijającego dom, biegła za nim, lękając się, aby nie zapomniał być wstąpić... Nie uwierzysz Mamo, jaki to jest mój stróż anioł Eglantyna; ale teraz niema jej tutaj, wyjechała do starej i chorej ciotki w Lyonie, i dopiero za dni 14 wróci... Jestem sam, z jej matką, która mnie kocha i nudzi często, chcąc bawić rozmową i rozweselić, bo ona myśli, że, kiedy nic nie gadam, to smutny jestem; i przymus gadania jest dla mnie przykrym w teraźniejszych czasach, a jednak przymuszam się, bo ona mnie kocha...

25 kwietnia o 11 w nocy.

Wracam teraz z ogrodu; całą godzinę po herbacie chodziłem po alei sam jeden. Księżyc świecił mi i w ciszy głębokiej śmiewał jeden słowik smutno, jakby płakał... O Matko moja! Myślałem o twoich projektach kupienia domu, mebli i cichego życia. Niepodobna! Niepodobna!.. Przebac mi, Matko, że ja tak niczem jestem dla twoego szczęścia — ja nic nawet dla własnego nie robię... Twoje pismo okropne mi przedstawiło obrazy. Wy coraz mniej macie dostatków; zdaje się, że los wziął teraz za cel naszą rodzinę...

Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności. Po takich mowach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małemi talentami utrzymują całe rodziny, zasłaniają je od niedostatku — a ja jestem jak niepotrzebne ziele... jestem nawet ciężarem dla ciebie, Mamo moja... Przebac mi, Matko moja, że taką drogę obrałem, ale wrócić nie mogę. Teofilu, czuwać tam nad wszystkiemi, strzeż i bądź ich aniołem, a ja kiedyś zapłacę za ciebie dług, podczas księżycowej niegdyś nocy zaciągnięty.

Nie śmiecie się z tego listu, bo ja go ze łzami piszę... Ty mi, Matko, piszesz o ożenieniu; nie chciałbym niszczyć

twoich marzeń, a jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę: dosyć, że nim jestem dla ciebie... Wierzę w przyszłe życie, bo to niepodobna, aby Bóg ciebie nie nagroził za to, że ci dał takiego syna... Jedna stara dama, przeczytawszy artykuł o mnie w *Revue Européenne*, napisała mi bilecik, w którym po wielu pochwałach na końcu napisała: *Heureuse votre mère!* Ona jest także matką, więc myślałem sobie, że może ten wykrzyknik zagłuszy nieco słowa mego sumienia, które mi powiada, że ty jesteś nieszczęśliwą przemnie.

26 kwietnia. Ile razy wieczorem siadam do pisania listu, zawsze zły jestem, że piszę smutno — a zatem postanowiłem list ten rano dokończyć innym stylem, wesołym, o ile mi moje usposobienie pozwoli. Właśnie teraz wracam z kościoła protestanckiego, gdzie słuchałem pilnie kazania. Byłem tam, przynajmniej się tobie, Mamo, dla widzenia jednej miłej osóbką, która mi wczoraj powiedziała, że będzie na kazaniu. Gdybym sobie mógł wystawić, że podróżuję dla przyjemności, gdybym sobie mógł każdej chwili powiedzieć: «Jeżeli zechcę, to Mamę za dwa miesiące zobaczę», wtenczas obecne życie wydawałoby się bardzo przyjemne...

Panny nie opuszczają mnie... Dawniej Eglantyna chodziła ze mną po całych dniach po ogrodzie; dziś, gdy jej niema, stokroć ładniejsza od niej panienka odwiedza nas co dwa dni z matką. Dlaczegoż odwiedza? Zapewne nie dla widzenia starej pani Pattey... A zresztą sądz sobie, Mamo, jak chcesz... Ale prawdziwie, zdaje mi się, że gлина, z której mnie Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien. Eliza, tak się nazywa przychodząca do nas często panienka, jest to osóбка mała, bardzo podobna do Kaźmiry Niepokójczyckiej: ma czarne oczy, pełne iskier, wiele dowcipu i żywości w mówieniu, wiele prostoty i ma lat około 24. Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach. Wtenczas podobała mi się bardzo i ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła; a dlatego ubierałem, że podobał mi się jej kapelusz... Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych, z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche*, kocze, i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy... Otóż kapelusz panny Elizy, chociaż do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką i spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży, rozkwitłej na oknie gotyckiem; więc dla tego ubierałem ją, gdy z wie-

czorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową i ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki teraz jest bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom osierocony śmiercią, dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory: u starych, u chorych... Eliza musiała się nauczyć bostona, aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dla tego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności.

Często, chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margeritki. Raz, gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej; więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów. Wróciwszy do domu, ułożyłem je, naśladowując twój gust, Mamo, w układaniu bukiecików, a potem w ogrodzie zerwałem dwie margeritki małe i w środek ogromnego bukietu włożyłem... Bukiet ten posłałem Elizie, ale od pani Pattey. Nie zawiodłem się: przypomnienie się było skuteczne. Przyszła z matką wieczorem i mówiła mi, że zła była na margeritki naszego ogrodu, które jej nieprzychylny dały wyrok... Widzisz, Mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. I zawsze mnóstwo mam do niej słów cichych, łagodnych, smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mnie kocha... Bo mówiła mi, że była smutna przez cztery dni, a ja nie pytałem, dlaczego... A gdy chciałem wiedzieć, co wczorajszego wieczora robiła, odpowiedziała: «Tak mi było smutno, że położyłam się o godzinie 10-tej i czytałam»... — «Jaką książkę?» zapytałam. — «Nowy Testament. Kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę». — I mówiła dalej: «Dziś rano, obudzwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczulałam, że dzień ten będzie szczęśliwy». W tym dniu odebrała bukiet i chodziliśmy wieczorem po ogrodzie... Kochana Mamo, zdaje mi się, że powiesz na nią: «Dobra dziewczynka»...

Nie wiem, czy ciebie takie detale interesują, ale te detale są całą różnorodnością mojego życia: bardziej mnie zajmują, niż mój tom III-ci, który za dni 8 wyjdzie z druku... Wydawca dzieł mego Ojca będzie go miał, bo jego korespondent, księgarz paryski, zgłaszał się już do mnie o kilkadziesiąt egzemplarzy, targując się niemilosierdzie o cenę. O, jakżebych chciał, abys go, Mamo, czytać mogła, zwłaszcza ostatni poemat o mojem dzieciństwie... Nauczony doświadczeniem, nie będę już go posyłał przyjaciółom do przedania... Dreźnie znalazło mi 50 egzemplarzy... Zapewne wesele Odyńca opędziło się niemi, bo mi od otrzymania ich słowa nie odpisał... Dzi-

wi mnie to jeszcze mocniej, gdy wiem, iż list mój, z Genewy pisany, otrzymał. Mniejsza o to; ma on na sumieniu bardziej ciężką winę, i dziwię się, że do ciebie, Matko, śmie pisać... Brakowałoby ci jeszcze listu Mickiewicza.

Panna Eglantyna przypisała się do ciebie, Mamo, w poprzedzającym liście; odpisz jej kilka słów po francusku w liście do mnie pisany... Różne tu wiadomości odbieram o zdrowiu mojej kuzynki, ale te mnie nie cieszą... Panna Eglantyna z Lyonu, gdzie teraz bawi, pisuje do mnie długie listy, bardzo mile i sentymentalne. Odpisuję jej w podobnym guście — i tak skracamy sobie czas oddalenia. Raz, waryatka, mówiła mi, że, gdybym ja umarł, toby ona moje serce w urnie srebrnej piechotą do kraju zanosła; ale ja wolę nie umierać, niż takim sposobem wojażować...

Mało tu znam ziomków. Niedawno miałem u siebie pierwszą wizytę hr. Ludwika Jelskiego.¹⁾ Dziwiła mnie bardzo ta nadzwyczajna grzeczność. Nie mogłem mu oddać rewizyty, bo do Dreźnie wyjechał. Zawsze jednakowy: elegant, włos mu bardzo poszpakowacił. Niestety, jacy my starzy kiedyś wrócimy do was, ile kłamstw i przesadzonych opowiadań będzie grzmiało pośród towarzystwa!... Myślę czasem o takiej starości...

U nas tu zimno dosyć, bo śniegi, topniejące na górach, ciepło kradną; słowem, wiosna nie jest przyjemną w Szwajcarii, i dziś nawet od rana deszcz pada. Siedzę więc w domu i bawię się z wnuczką pani Pattey. Jest to dziewczynka 4-oletnia, dosyć dowcipna i bardzo mnie kochająca... W dobrej jesteście harmonii; ona woli się ze mną bawić, niż z siostrą Rozalią. Siostra Rozalia jest to stara mniszka, która ją czytać uczy. Patrząc na nią, myślę często o biednej Melance...

Adieu, moi kochani! Babuniu, Dziaduniu, całuję z uszanowaniem ręce wasze. Teofilowi życzę szczęśliwej podróży; kto wie, może mu i dobrze będzie w nowem mieście, do którego się przenosi... A kiedyś kupi sobie kawał ziemi, i koniec... Oby wszystkim nam spokojnie skończyć! Adieu, Hersylko, całuję ciebie! Mamo moja, kocham ciebie mocno, mocno, mocno!...

J U L O .

24.

Genewa, 6 czerwca 1833 r.

Kochana Mamo! Czy zaczynasz już zapominać o mnie? Listy Twoje, o dwa miesiące jeden od drugiego odległe, na-

¹⁾ Prezes banku Polsk. w r. 1828, później minister Skarbu w r. 1831.

pełniają mię smutkiem i rozpaczą. Matko, koniecznie proszę Ciebie o więcej otwartości w twoich listach; zdaje mi się, że jestem już człowiekiem i mam dosyć mocy do znoszenia nie-szczęść...

Donoszę ci, kochana Matko, że od dni 20 wyszedł na świat tom III-ci moich poezji. Wydawca dzieł mego ojca mieć je będzie; spodziewam się więc, że i was kiedyś dojdzie, ale kiedy? Pierwszego dnia po wyjściu zwróciło mi się pół kosztu druku; spodziewam się, że wkrótce cały wyprzedażą pokryje. Przedmowa, krótka i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednym z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie. Polakom, tu mieszkającym, podoba się ten tom bardzo, ale nie wiem, jak o nim u was sądzić będą ludzie; o ten tom bardziej jestem niespokojny, niż o dwa pierwsze. Napiszcie mi, jeśli co o nim usłyszycie. Jeżeli tak dalej płodną będzie moja imaginacja, jeżeli co roku zaczęłyby tomy nowe drukować, to wkrótce w waszej szafce będziecie mi musieli poświęcić całą jedną półkę, a po mojej śmierci ten, kto mnie poznać zechce, będzie musiał mieszać cały ze mną obcować.

Takie są teraz sny moje. Żyję sobie dosyć przyjemnie i spokojnie. Horyzont mój zamknięty drzewami okrył się tyśmiem róż, bzy przekwitły, laur największy, stojący pod moim oknem, usechł, choć go sam polewałem. Prawda, że to zła wróżba? Są to najważniejsze nowiny.

W domu, w którym mieszkam, uwijają się różne cienie, jak w czarnoksiężskiej latarni. Naprzód z jaskółkami przy-leciał młody Anglo-Szok, niezmierznie cichy i nabożny, młody i dziecinny. Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodowej łące. Jak mi to boleśnie przypominało moje dzieciństwo, Mickuny, Wilenke, lasy sosnowe, i jeszcze coś... To dziwne, że już teraz nie mogę łowić motylów! Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami wyjechał do Lauzanny.

Panna Eglantyna wróciła z Lyonu. Pierwszego dnia po powrocie, przy śniadaniu, oddała mi przywieziony stamtąd prezent, obwinięty starannie w cienki papier. Rozwijam go i znajduję nóż, czyli raczej scyzoryk, za dwa grosze kupiony. Nic jeszcze bardziej barbarzyńskiego nie widziałem; chowam go, i kiedyś w kraju będę pokazywał, dowodząc, że Francuzi od Hotentotów mało się różnią cywilizacją. Scyzoryk malowany żółtym pokostem, na którym, świecą czerwone kwiatki; z jednej strony w rozszczepionym drewnie nóż, do ćwieka podobny, z drugiej strony flecik, jeden tylko cienki głoś wydający... Dar ten przypominał mi owego staruszka

gipsowego z kiwającą się głową, któregoś Mama Jędrzejowi Śniadeckiemu na imieniny ofiarowała. Ale przy tym nożyku dostałem także śliczną kieskę do pieniędzy, z największym wytworem haftowaną przez damy lyońskie. Jest to miesiąc podarunków, bo Anglik o którym pisałem, chcąc się także wyrwać w mojej pamięci, przy odejściu dał mi na pamiątkę trybuszon. Nie śmiecie się: jest to dar, podobny do tabakierki kapucyna, ofiarowanej Sternowi.

Dom po odejściu Anglika został zupełnie pustym przez czas niejaki. Wtem jednego poranku zwała się, jak lawina, ogromna familia rosyjska: pani Ouwaroff, córka ministra, z dziećmi. Z początku doznałem elektrycznego wstrząśnienia; teraz bardzo dobrze jesteśmy, niezmierznie grzeczni dla siebie. Pani Ou. sama już jest w dosyć podeszłym wieku, żywa i krzycząca; córka najstarsza, dosyć rozlana i szeroka, ma twarz przyjemną i ładne czarne oczy. Włochy mało się odbiły na jej imaginacji: została nieociosana statua. Ma sztambuchy, w których włoscy artyści, stosując się do jej gustu, wszystko jaskrawymi kolorami malowali. Śpiewa, robiąc zawsze trzy omyłki w każdej ary: nigdy mniej ani więcej. W nutach mnóstwo polskich teraźniejszych, śpiewanych mazurków, które zapewne w ogień pójdą za powrotem. Młodsza jej siostra, żywa i ładna, jeszcze dziecko. Synek mały, w czerwonej huzarze, haftowanej złotem: bardzo dobry dziewięcioletni chłopczyk. Przyjaciół syna, karzeł; ma lat 40, łokieć i ćwierć wysokości, twarz pomarszczoną, ale głowę nie nazbyt wielką; uśmiecha się do wszystkich i nie jest bynajmniej gniewliwy. Przy dzieciach guwerner, ze wszystkiego do Z. Szantyr, mierzącego pola w Jaszunach, podobny. Przy pannach guwernantka, ze wszystkiego do siostry Pelikanowej¹⁾ w Wilnie podobna, dwie panny służebne i służący. Oto jest cała familia wojażerów: zdaje mi się, że dostatecznie odmalowana. Całe trzy piętra domu rozlegają się od ich krzyku; mówią różnymi językami, i nieraz mi się zdaje, że jestem w babilońskiej wieży...

Niedawno miałem rozczulającą scenę z powodu karla, doniesiono mu bowiem, że jego ojciec umarł. Wystawcie więc sobie tę małą figurkę upośledzoną; przy herbacie wyciągał z kieszeni małą chusteczkę do nosa i ocierał tży, które mu mimowolnie płynęły... Okropnie było myśleć, że on, wracając do kraju, nie znajdzie osoby, która by go może jedna tylko nie z urąganiem przyjęła. Została mu wprawdzie sio-

¹⁾ żona Wacława Pelikona, prof. chirurgii a później rektora uniwersytetu wileńskiego.

stra, która w Petersburgu lekcye na fortepiano daje i z tego się utrzymuje. Po herbacie, kiedy odchodził do swego pokoju, gdzie śpi na dwóch krzesłach, przystąpiłem do niego i ścisnąłem go za rękę. Widać, że mi wdzięczny był za to uściśnienie, bo od tego dnia, witając się z rana i odchodząc wieczór, zawsze zbliża się do mnie i, biorąc rękę moją w dwie swoje małe rączki, ścisła z całej siły.

Całe ranki przepędzam zawsze w publicznej bibliotece, gdzie się znajdują wszystkie dzienniki i pisma peryodyczne. Co dnia więc czytam mnóstwo gazet i wiem doskonale, co się dzieje w Europie. Nic nazbyt pocieszającego; dla nas bieda i smutek. Po przeczytaniu gazet siedzę przez kilka godzin w bibliotece, gdzie czytam różne dzieła, a najwięcej dzieł filozoficznych. O czwartej wracam do domu na obiad. Na odgłos donośnego dzwonka schodzi się do salonu całe towarzystwo, a stamtąd udajemy się do jadalnej sali, dziwnie ozdobionej dwoma gipsowymi posągami, z których jeden wyobraża Apolina Belwederskiego, a drugi jakąś Wenerę. Po obiedzie z pannami gram w wolanta i w obręczę, czyli w kółka. W obu tych grach doszedłem do wysokiego stopnia zręczności, choć mi wyższości nad sobą panny przyznać nie chcą. Często w takich grach przychodzi do walki: wtenczas zrywamy róże i rzucamy na siebie — słowem, wesoło nam czasem..

Pytałaś się Mama, czy gram na fortepianie: otóż donoszę ci, że gram bardzo często, ale tylko fantazje i słyszane aryjki z oper. Największą mi przyjemność robi jeden polonez Sokołowskiego, którego sobie przypomniałem. Żałowałem bardzo, że nie mogłem słyszeć bawiącego teraz w Paryżu Fielda; jest on zawsze ulubieńcem moim w muzyce: lubię wszystko, co się wiąże z wspomnieniami.

Napisz mi, kochana Mamo, czy Ludwisia Śniadecka wyjeżdża do Odessy, i spytaj ją, czy o przyrzeczeniu swoim pamięta? Spodziewam się, że mój tom III-ci pogodzi ją trochę ze mną. Czy Hersylka trwa w przedsięwzięciu wyjechania do Burkutu?

O Matko moja! Rzadkość Twoich listów przerażające mi często nastęrcza myśli. Lękam się nadewszystko kochanego stryjaszka. Ma obecnie pole pokazania się.. Czy nie słyszeliście co o Michale Skibickim? Obym go nigdy nie spotkał na tej ziemi!...

Napada mię czasem chęć czynniejszego życia, marzę o różnych projektach, ale wszystko to napróżno. Nic mi nie pozostaje, jak cicho siedzieć, myśleć i pisać. Gdybym jeszcze mógł wybierać kraj do mieszkania, przeniósłbym się do Nie-

mieć i żył spokojnie i tanio; ale teraz wszystkie kraje zamknięte są przede mną: nawet do Francji powrócić trudno. Nie możecie sobie wystawić naszego położenia: najsmutniejszego.. Ja dziękuję Bogu i Tobie, Matko, bo w porównaniu z innemi jestem zupełnie szczęśliwy i, gdyby nie myśl, że co chwila nieszczęście spaść na mnie może, niczego bym więcej nie żądał; ale ta myśl jest jak miecz, zawieszony na włosku nad głową moją.. Zamykam oczy i spuszcza się na Opatrzność, która prawdziwie cudownie mi dotąd sprzyjała.

Matko moja najukochańsza! Najdroższa! Żegnam Ciebie, ale nie na zawsze. Musimy się kiedyś zobaczyć. Kochanych Dziadunia i Babuni z uszanowaniem rączki całuję. Teofila i Hersylkę serdecznie ściskam.

WASZ JULIO.

26.

Genewa, d. 24 sierpnia 1833 r.

Najukochańsza Matko moja! Otóż wczorajszy dzień, dzień moich urodzin, przeszedł bardzo miło dla mnie i smutno. Zszedłem na śniadanie i zastałem pannę Englantynę samą, która mię zniewoliła, abym przyjął od niej złotą obrączkę; obrączka ta otwiera się, i we środku napis: 23 Août 1833. To dziwnie, że tak pamiętała o dniu moich urodzin, o którym kiedyś w ziemie jeszcze mówilem, a tego miesiąca zapytany o dzień kilkakrotnie, nigdy nie chciałem powiedzieć. Obrączkę tę z pierścionkiem, niegdyś od Babuni darowanym, na jednym palcu noszę.. Po śniadaniu przyszedł mi powinnować jeden z Polaków i pani Pattay zaprosiła go na obiad. Na obiedzie całe towarzystwo piło zdrowie moje szampanem, a pani Seidwitz, nachyliwszy się do ucha szepnęła mi: «à la santé de Mme votre mère». Widział więc, Matko, że Ciebie nawet nieznajome Tobie osoby wspominały w ten dzień, a cóż dopiero Twój syn. Wieczorem przyszło z wizytą kilka panien i trochę tańcowaliśmy do godziny 11-tej w nocy. Otóż masz, Matko, opisanie dnia tego. Ci, którzy mię otaczają, starali mi się ośłodzić moje położenie i prawdziwie że nie byli dla mnie tak jak obcy.

W tym miesiącu miałem jeszcze przyjemną scenę. Wizytator szkółek tutejszych uprosił panią Pattay, aby mu ogrodu na majówkę pozwoliła. Porobiono więc w ogrodzie wszelkie przygotowania, jako to: zasadzono słup, na wierzchu którego zawieszono były cacka dla dzieci, pozaczepiano na drzewach w alei hojdałki, pozastawiano stoły — i do tak urządzanego ogrodu o godzinie 1-szej weszły dzieci ordynkiem z bębnami wojskowemi na czele i niosąc mnóstwo chorąg-

giewek.. Nie uwierzysz, Mamo, jaki to ładny widok 400 dzieci, ładnie ubranych, ubogich, bogatych.. Z jaką wesołością wchodzili do ogrodu! Jak mówki, rozsykali się po trawie, potem znów około chorągiewek zasiedli.. Pani Potopof, która zostawiła w Rosyi małego synka, chodziła między dziećmi, szukając, czy którego podobnego nie znajdzie, i lzy miała w oczach. Ja także, nie wiem, dlaczego, oczy miałem łez pełne i coś mi dusiło w gardle.. Prawdziwie, że nie wiem, jakie to było uczucie. Człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym, a ja wtenczas żałowałem siebie samego, że mi burza tak gwałtownie od wieku dzieciniego oddzieliła. Podczas gier cała nasza kompania domowa siadła na ławce między dziećmi. Wtenczas przypominałem sobie Czackiego, przypominałem własne uczucia, jakich doznawałem, odbierając oklaski na egzaminach, i prosiłem wizytatora, aby mi prezentował pierwszego ucznia.. Natychmiast wizytator przyprowadził mi za rękę małego 12-stoletniego chłopczyka, trochę chorego wtenczas. Wziąłem go za rękę, powiedziałem mu imię mojej kuzynki, zapytałem, czy ją zna? Powiedziałem mu kilka pochlebnych rzeczy i dałem mu ładny medal mój.. prosząc, aby sobie kiedyś, będąc starszym, przypomniał tę chwilę. Wiecie, że podczas tej sceny wielu przytomnych lzy miało w oczach; mały chłopczyk ścisnął mnie za rękę i nie znalazł słowa na ustach. Eglantyna mi potem mówiła, że chciała była mię w tej chwili uściskać. Droga Mamo, są czasem chwile, w których myślę, że tybys była ze mnie kontenta, i myśl ta będzie mi zawsze przytomną w życiu, bo pewny jestem, że mię do dobrego prowadzi. Matko moja! Życie moje jest teraz spokojne i bezpieczne: jeżeli się kiedy troszczę, to tylko o was; w gospodarzach moich mam przyjaciół; mówią mi to sami stokratnie i okazują szczerą przychylność.

Co do twego pytania o pieniądzach, wyznam ci, Matko, jak się rzecz ma.. Spodziewałem się dotąd, że do końca tego roku żadnej pomocy potrzebować nie będę — aż tu nieprzewidziana okoliczność dotknęła mię. Mój przyjaciel, trudniący się w Paryżu książkami, otrzymał rozkaz opuszczenia Francji. Ministerjum francuskie prawdziwie się pastwi nad nieszczęśliwymi wygnańcami. Kilkaśet moich franków, które po kilkakroć chciałem odesłać, a których dotąd niepotrzebowałem, teraz jemu były gwałtownie potrzebne. Jest to *en petit* bankructwo mojego księgarza... Korn także nie odysła mi winnych pieniędzy, słowem, przekonywałem się, że księgarze, jest to najgorsza klasa ludzi; wszyscy do Zawadzkiego podobni. Teraz więc jestem bez pieniędzy — i 1000

złotych potrzebowałbym do końca roku, bo przykroby mi było w domu nie płacić, zwłaszcza, że, jako wygnaniec, płacę mniej od innych. Nadto mam potrzebę sprawienia sobie koszul i bielizny, słowem, pieniądze toczą się tu niezmiernie prędko, a w tym roku zapłaciłem jeszcze za druk III-go tomu.

Wyobrażam sobie, jak mi kiedyś będzie miło spoczywać na sofie włóczkowej, twoją ręką, kochana Mamo, wyszytej. Dziś najpożądańszą od was rzeczą byłaby mi twoja miniatura, Matko kochana; jeżelibyś, Matko, mogła mi ją przysłać, to w dniu samotne, w dniu, pełne wspomnień, patrzyłbym na nią, i byłoby mi lżej i milej. Żadnej teraz okazji znaleźć nie mogę przesłania wam kanwy; możebym mógł ładne desenie znaleźć w Genewie. Czasem natężam tak moją imaginacyą, że was widzę, widzę Krzemieniec, dywaniki, rozkwitające pod waszemi rękami, i przez wiele godzin dnia z wami jestem.

O kochani moi! Nie zapominajcie o mnie, niech ja nie przestaję zasiadać w kole waszem rodzinnem!... Adieu! Hersylce za kilka słów wdzięczny jestem; widok sam jej kruczkowatych liter ucieszył mię. Dziaduniowi za błogosławieństwo wdzięczny jestem i stopy jego i Babuni całuję. Teofil niech przyjmie moje uściśnienie. Baupré i pan Jarkowski zawsze są przytomni mojej pamięci, a Ty, Matko, Ty, mój Aniele stróżu!... Ludzie wszyscy płyną, jak rzeka, do jednego celu, w jedną stronę; zjeździemy się kiedyś, Matko!... Słowa Nicka ¹⁾ natracają mi się tutaj:

Przyjdę tam do chaty,
Odpocznę; ja myślałem zawsze do was wrócić...

Adieu! Adieu! Twój

JULJUSZ.

28.

Genewa, d. 27 października 1833 r.

Droga, najukochańsza Mamo moja! Cóż ci w tym liście opisywać będę? Spojrzawszy na cały miesiąc upłyniony, nie widzę żadnego interesującego wypadku. Anglcy, Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napelniały, z przejściem jesieni uniosły się, jak jaskółki, na południe i niema nikogo, oprócz młodego Anglika, który jest doskonale nudny. Wystawcie bowiem sobie młodego chłopca, wysokiego niezmiernie, dość przystojnej twarzy, który

¹⁾ z Maryi Stuart (akt IV).

nigdy prawie nie gada, a kiedy się wyda z jakim zdaniem, to go i sam dyabeł o myślności zdania nie przekona. Wystawcie sobie tę maszynę, grającą cały dzień na gitarze pierwszą lekcję ze szkółki, a będziecie mieli obraz doskonały pana Speare, co znaczy po polsku *dzida*. Jest to więc ostatni z gości letnich, i ten porzuci nas wkrótce, co uczujemy tylko po ogłuchłej gitarze w murach naszego domu. W takim towarzystwie, (dodawszy do tego Anglika i moje gospodynie), mógłbym się nudzić szalenie, gdyby nie kraina urojeń i marzeń, która silniej niż kiedykolwiek oddzieliła mnie od świata.

Piszę wielkie dzieło; napisałem już 1300 wierszy, ale to jest jeszcze niczem w porównaniu do całej budowy. Cały dzień jestem roztargniony; w nocy piszę, a do 10 godziny rano śpię głęboko... Tak zaś jestem roztargniony, że dziś, płacąc szewcowi za buty, dałem pieniądze i nie dołożyłem jednego sous, który mu się do okrągłej sumy należał i wyszedłem z jego sklepu. Nie wiem, jakim sposobem przypomniałem sobie o tej pomyłce i zacząłem się śmiać głośno, bo prawdziwie, że nie wiem, co ten szewc o mnie pomyśli. Płacąc, miałem rękę pełną sous, a nie dodałem mu jednego...

Czemuż z tobą, Mamo droga, nie mogę pogadać o moich pismach przeszłych i przyszłych? Jakieby to było szczęście dla mnie! Pisałem, że posyłam wam moje trzecie dziecko; nie dziwcie się, że nie doszło: odesłali mi go z granicy szwajcarskiej, jako złym sposobem posłane, to jest, nie tyle się zapłaty należało. Mogłem je inną drogą posłać, ale wypadek ten uważałem jako przestrożę losu i wstrzymałem się. Przesądny jestem w niektórych rzeczach.

Pisano mi, że dzieła Kochanowskich już są w drodze; zapewne je w tych dniach otrzymam. Pusty dom nasz, a dla mnie pustynią się wydaje, (mówiąc romantycznym, czyli raczej klasycznym, idylłowym stylem), od czasu wyjazdu młodej Angielki, która tu mieszkala, przeze drzwi tylko oddalała ode mnie, i z którą po całych dniach szaleliśmy. Prawdziwie, że dziwno, jak dotąd wiele we mnie dziecinności, a czasem jak wiele spleenu.

Pan Wolf, minister protestancki, wysłany z Anglii, aby nawracał ludzi, wyjechał już z żoną. Przez cały ciąg pobytu wszystkie osoby zaniedbał, a do mnie się przyczepił z wszelkimi argumentami, podobnymi do katechizmu szkół nowych u was.. Chciałbym wam pokazać próbkę takiego rodzaju ludzi, bo prawdziwie, że ich jeszcze nie widzieliście. Ten pan Wolf, wyjeżdżając, zostawił mi na pamiątkę Stary i Nowy Testament, za co jemu bardzo wdzięczny jestem, bo ta księga każdemu człowiekowi w życiu towa-

rzyszyć powinna. Darował mi także dwie inne książki, których nie czytam i nawet czytać nie będę. Jedną z nich jest kazanie, które miał w kościele protestanckim w Rzymie. Nim się goście stąd rozjechali, przepędzaliśmy często wieczory na czytaniu tragedji. Byłem lektorem towarzystwa, i zdaje się, że byli kontenci ze sposobu, jakim wydawałem różne role; przynajmniej widziałem często na ich twarzach, że dobrze czytałem.

Córka pani Pattey, która jest za jednym bankierem, zamierza tej zimy urządzić teatr i liczy na mnie, że się niektórych ról podejmę. Będzie to więc jedną z moich zimowych zabaw. Będą więc niektóre godziny, w których będę musiał śmiać się szczerze z musu i rozśmieszać widzów.

Mamo kochana, napisz mi, jaki jest adres do twego kuzyna w Galicyi. Chciałbym poznać się z nim listownie, bo może go będę potrzebował. Jeżeli będziesz kiedy pisać do niego, powiedz mu, aby mię jak krewnego uważał. Gdybyś Ty, Mamo, mogła kiedy osiąść we Lwowie, to mógłbym po jakim roku otrzymał pozwolenie mieszkania w Galicyi i dobrzeby nam było. Myśl o tem, kochana Mamo; może to żądanie moje jest tylko złotem marzeniem, ale, ile razy o takiej przyszłości myślę, to mi lżej na sercu. Niespokojność jakaś dręczy mię ciągle. Często, zatrudniony czytaniem lub jaką cichą pracą, wstaję nagle i chodzę, jak waryat, z myślami, od których opędzić się nie mogę.. Ta niespokojność prawdziwie ma jakąś twarz ludzką i bladą, którą widzę nierzad, nagle wyrastającą z kart książki, którą czytam, i nie rozumiem książki. Niespokojność ta często, jak jakaś gorączka, odbiera nagle smak pokarmom, które do ust niosę. I muszę z nią walczyć, jak z domowym wrogiem. Mamol! To dziwnie, że imaginacja moja jest jedynym źródłem wszystkich moich nieszczęść i wszelkiego szczęścia na ziemi... bo prawdziwie, że jestem szczęśliwy często tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy jestem każdego wieczora, kiedy piszę, każdego ranka, kiedy chodzę po suchych liściach w ogrodowej alei.

Nie możecie wystawić sobie, jaki wdzięk ma tutejsza jesień. Dotąd czas najpiękniejszy; słońce, świecąc na wpół pożółkłych drzewach, zdaje się być bardziej złociste i piękne, murawy nie tak, jak u nas, spalone i bez życia. Murawy tu dotąd zachowały wiosenną, szmaragdową barwę. Kilka dni temu o południu pływałem czółnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe, jak zwierciadło, tak równe, że, kiedy po nim z daleka przepłynął parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fald czarny rozbitej kołem

partego statku wody. Fałd ten posuwał się z wolna, wspinał się i czołnem moim lekko zakolysał; przeszedł, popłynął dalej, a czołno znów stało nieruchome na zwierciadle wody. Wystawcie sobie po dwóch stronach jeziora brzegi zielone, nad brzegami w oddaleniu topole, pożółkłym liściem okryte, jak złote kolumny, wiele drzew zielonych, wiele białych domków i pałacików, a za tym brzegiem Montblanc biały świeżym śniegiem z przyległymi mu górami okryty, podobny do jakiegoś sybirskiego kraju, podobny do snycerskiego posągu sybirskiej krainy. Wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać... Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo; na mojej drodze stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żywieć okruszynami uczuć — i w moich uczuciach nie ma wielkiego, oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkimi zmysłami.

Mamo, nie dziw się stylowi tego listu, ani się lękaj o mnie; jest to prosto jesienne usposobienie duszy, jest to tylko skierowanie wszystkich władz do przemagającej we mnie teraz imaginacji. Żyjąc od dni kilkunastu tym chlebem, nie mogę się nagle przemienić, nie mogę wam opisywać płaskich, codziennych wypadków, powtarzać słów jakieś panienki, które mi przez jedno ucho weszły, a przez drugie wyleciały, opisywać rozmowy, w gronie kilku nudnych osób toczone i t. p. Gdybym był nawet z wami, widzielibyście mnie myślącego i zachmurzonego; patrzcie więc tak na ten list pusty, jak na myślącego Julka. Mamo! Wystawiam sobie często, że chodzę po ciemnym pokoju, gdzie nad framugą wisi biały z kości słoniowej Chrystus na czarnym krzyżu. Wystawiam sobie, że ty leżysz, Mamo, na małej kanapie w drugim pokoju, oświecona płomieniem zapalonego pieca. Jak tam cicho i smutno teraz musi być w waszych pokojach...

Matko! List ten może otrzymasz w dzień twoich imienin. Syn Twój z daleka ręce do Ciebie wyciąga i prosi Cię, Matko, abyś mu przebaczyła, że cię tak samą na świecie zostawił... bez żadnych przyjemności życia, pomiędzy pomnażającymi się co dnia grobami rodziny. Mamo moja! Czy myśmy starzy, czy my przespali wiele lat, że tak nam wiele osób brakuje? Czy nas Bóg złączy kiedyś dlatego, abyśmy przed śmiercią mogli sobie powiedzieć, żeśmy żyli — abyśmy na zmienionych twarzach naszych wyczytać mogli te same słowa: żyliśmy?... Matko moja, uśmiechnij się, niech ci przyjdą wesołe myśli, wesołe marzenia! Wróć kiedyś, a jeżeli nie, to znajdź sobie za granicą ładną, dobrą, nawet może bogatą żonę... Będę miał synów, córki; wybiorę ci najpiękniej-

szego z synów, aniółka, przysię Ci go, Mamo, wpelźnie na twoje kolana; tylko, Matko, odpędzaj go od książek: niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza i «Iliady» zmarszczeniem brwi świat wstrząsać! Daj mu zimną «Eneidę», której Julek częstym czytaniem nie podarł; niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci; niech nic nie zostawia po sobie, czegoby mógł żałować!...

Babuniu, Dziaduniu, drodzy moi, Teofilu, Hersylko, otoczyć wszyscy Mamę moją tak ścisłem kołem, aby nie widziała. Że jej kogo jeszcze brakuje.

Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi, moi mili i najukochańsi! Ja zdrow jestem, jak ryba; powietrze tutaj bardzo mi służy, albowiem nigdy nie doświadczamy wielkiego zimna, a góry śniegiem okryte, chłodzą nas w wielkie upały. Prawdziwie, że ta ziemia to raj dla szczęśliwych. Mamo droga, całuję ciebie po tysiąc razy.

Twój JULIUSZ.

29.

Genewa, 30 listopada 1833 r.

Najukochańsza, biedna Mamo moja! Chciałbym cię pocieszyć w boleści twojej i czuję, że jedno moje uściśnienie byłoby ci miłsze nad wszystkie listów wyrazy. A ja ciebie, Mamo, uściśnąć nie mogę... Widząc tak mrące osoby kochane i drogie, czasem krzyczę całą mocą duszy mojej: «Czekajcie, czekajcie na mnie! Może jedna chwila upłynie, a wróćcie i uściśnę was jeszcze!...» Ale ty, Mamo moja, nie będziesz sobie smutkiem życia ukracać — boś ty wszystkim dla mnie, bo ci przysięgam, że żadne inne przywiązanie nie dzieli mego serca na dwoje i żadnej jego części nie odrywa od ciebie...

Przez dwa miesiące oczekiwałem z największą niespokojnością jakiej wiadomości. Odebrałem książki Kochanowskiego, listy od tych, którzy mi je przesyłali, a od was ani słowa. To niespokojność moją okropnie zwiększyło; domowi moi podzielali ją. Nakoniec ranka jednego przybiega do mnie ze łzami radości w oczach panna Eglantyna i wyciąga do mnie rękę z listem. Porwałem go niespokojny... i przeczytałem, a potem padłem w moim pokoju na kolana i modliłem się ze łzami... A tak rzadko się modłę... więc Bóg musiał być i modlitwę przyjąć, jak łzę i modlitwę grzesznika... Na drugi dzień rozczytałem się w liście i znalazłem jeszcze inne powody smutku. Więc wiecie o Adamie... Oh! Teraz dopiero powiem Wam, ile mię kosztowało przełamanie pierw-

szego popędu dumy... Skorom przeczytał, chciałem się koniecznie strzelać z nim i natychmiast posłałem list do Michała Skibickiego, przyjaciela mego niegdyś, aby mi pomocy swojej użył. Przyszedł Michał wieczorem i różnemi radami odwiódł mnie od zamiaru. Była to jedna z przyczyn, dla której do Genewy wyjechałem - i teraz nie uwierzę, ile mi cierpień, ilekroć ludzie chcą zdanie moje o Adamie słyszeć. Nienawidzę go... Wyjątek z mojej przedmowy on obciął i umieścił w piśmie; ale tak obciął, że mu dał zupełnie inne znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, a przemowa moja jest raczej moim usprawiedliwieniem, i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił, on albowiem o dziełach literackich w piśmie pisał.¹⁾

Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dośięć nie mogły... I muszę tego dokonać. Bóg mi sam natchnął, bo rozwinął w myśli mojej wielkie dzieło.²⁾ Część pierwszą za kilka dni posyłam do druku i teraz przepisuję. Wierz mi, Matko droga, że się nie zaślepiam. Żem to dzieło osądził, po napisaniu, obcego człowieka rozważa... I drukuję bezmieniennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem. Jeżeli przygotujecie się na to, to zaraz pošlę kilka egzemplarzy, napiszcie tylko, czy? Bo całe jest o chorobie kuzynki.

O Mamo moja! Jakżebych chciał zawrócić list mój ostatni, z powinszowaniem imienin tobie pisany; myślę teraz, o ile on będzie bolesny dla ciebie. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę, jak kiedyś na starej, czarnej Znajdzie wjeżdżałem na mały, spokojny Dziadostwa dziedziniec. Imieniny Twoje, Mamo, musiałem wczoraj obchodzić ze znajomymi. Chłopcy młode przyjechali po mnie o godzinie 10 z rana i powieźli z sobą na obiad, na wieś, pod góry genewskie. Było nas kilku; kiedyśmy jechali, chmury czarne snuły się po niebie, sam tylko Mont-Blanc biały świecił od słońca, jak posąg Sybiru. Potem deszcz lunął rześysty, ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się nad nami. Wszystko to poruszyło aż do głębi nasze serca. W tej tęczy widzieliśmy jakąś wróżbę. Zasiedliśmy do stołu: jeść niewiele znaleźć mogliśmy w wiejskiej oberży, ale szampań wszystko wynagodził. Na prośbę kolegów pierwszy raz improwizowałem, i domyślić się, że ta tęcza była treścią mojej ody. Koledzy klaskali w ręce, a potem ściskali mię ze łzami, a potem pili

moje zdrowie; a kiedy im powiedziałem, iż ty, Mamo, nazywasz się Salomea, pili twoje zdrowie. Najbardziej rozczulającą była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaintonowaliśmy wszyscy pieśń: «Święty Boże, święty mocny, o święty nieśmiertelny—zmluj się nad nami!»

Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał, a w tej chwili coś miał w sobie ogromnego.. Młodzi, około stołu oparci na dłoniach, podobni byliśmy do dawnych.. naszych... Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczujecie wrazenie, jakim nas natchnęła ta pieśń pobożna... Nasze uczty połączone są... ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach, i kielichy są pełne goryczy, dopóki Bóg ich od nas nie odwróci.

W tym miesiącu miałem kilka wieczorów. Wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i z dwoma córkami. Starsza, dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcje, i gra zupełnie Fielda metodą, więc jej gra nie bardzo mi była miła... Dwunastu młodych Polaków, uczących się tu na jednej pensyi, chcąc mię poznać, dawali dla mnie wieczór, na którym tylko sami chłopcy znajdowali się. Bawiliśmy się dosyć dobrze, i gdyby nie zapytania, które mi ciągle robili: co ja myślę o Adamie? — byłoby mi zupełnie miło między niemi. Tańcowaliśmy szalonego mazura. Te kilka wieczorów rozerwało mię trochę, zwłaszcza żem jeszcze nic o naszym nieszczęściu nie wiedział.¹⁾

Cały ten miesiąc pracowałem nad nowym poematem²⁾ i w dni 20 napisałem 2200 wierszy. Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla dobra ojczyzny mojej; przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko. Spokojne teraz wiodę życie. Sam jestem w domu z matką i córką Pattey. Kochają mię, jak syna i brata, dzielają wszystko ze mną, dziękuję Bogu, że mię do ich domu przyprowadził. Kiedyś, wróciwszy do mojej krainy, nieraz będę tęsknił może za tem cichem terazniejszym życiem.. Prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinna się nam piękniejszą wydawać, niż była.

Książki Kochanowskich odebrałem z taką radością, jak gdybym witał przyjaciół. Będę je zawsze chował, bo notatki ojca i twoje kilka wyrazów, Mamo, uświęciły je dla mnie. Czytam ciągle teraz oba dzieła na przemianę i znajduję, że *Treny* są niezrównanej piękności. Uwagi ojca mego

¹⁾ pisał właściwie nie Mickiewicz lecz Jański.

²⁾ był to «Kordjan».

¹⁾ o śm'erci babki.

²⁾ pisał wówczas Kordjana.

po większej części znajduję słuszne; w niektórych tylko miejscach widzę, że go gust ówczasowy klasyczny, a raczej francuski, trochę obłąkał. W teraźniejszej poezji Brodziński najwięcej się do Kochanowskiego zbliża, ale jest od niego niższy o 3 wieki. Oprócz tych dzieł nic więcej teraz nie czytamy, bo po całych dniach przepisuję na gwałt mój nowy poemat, który nazywa się *Kordyan*. Dziwne to imię sam dla mego idealnego człowieka znalazłem...

O Mamo, czemuż nie jestem z tobą! Teofilu, Hersylko, dzięki wam za wasze słowa w liście; dziękuję wami całą boleść, bo uważam się jak wasz brat i brata prawdziwie mam do was przywiązanie. Chcę, abyście spokojnie na wsi osiedli i pozbyli się wszelkich trosk i nieprzyjemności. Niech się wam włosy żółte do nóg kłaniają, niech w waszym ogrodzie rośnie..... a przyjdzie jeszcze z nieba między was jaki aniołek z błękitnymi oczyma i usiedzie wam na kolana i uśmiechnie się do was. A w domu waszym wiejskim, tak, jakżeście mi przyrzekli, zbudujecie mały pokój z oknami dwoma na wschód i w ogrodzie zasadzicie aleję z kasztanów i jodeł na przemiany, aby mi przypominała aleję, po której teraz chodzę.—O, gdybyście mogli górę Mont-Blanc z daleka w perspektywie postawić! Dziadunia mego rączki odemnie ucałujcie... Mamo moja kochana! Bądź ty spokojna i znoś nieszczęście z mocą całą duszy, bo cóż się ze mną stanie, jeżeli ty, Mamo, boleścią zbytnią usuniesz się z tej ziemi? Matko moja! Kiedyś wezmę cię za rękę i pójdziemy na cichy cmentarz płakać i modlić się. Matko moja! Pani i panna Pattey kilka razy, wiedząc, że list piszę, przychodziły pod moje drzwi i wołały, abym nie zapomniał od nich tysiąc ci rzeczy powiedzieć. Panna Eglantyna płakała, dowiedziawszy się o nieszczęściu, które na was spadło... One także, matka wdowa i córka sierota, mają tysiąc zmartwień i nieprzyjemności: one także nieszczęśliwe! Mamo moja, całuję ciebie z całej duszy, całego serca mego!

Dnia 30 listopada 1833 r.

Twój JULIUSZ.

32.

Genewa, 24 marca 1834 r. n. s.

Kochana Mamo! List mój uprzedni pisałem w niepewności i niespokojny o was; winą to była tutejszych ludzi, którzy, czekając na zgłoszenie się moje, znać mi nie dali i tak miesiąc mi trzymali w zawieszeniu. Nazajutrz po odebraniu daru twojego doszedł mi list drugi. Wystawcie sobie radość moją! Zdawało mi się, że o kilka mil tylko od was jestem,

że codzień piszemy do siebie, i takie omamienie było rozkoszne, jak rozkoszne, to wystawić sobie nie możecie. Pierwszy list, rozpaczający, napenił mię także rozpaczą. Prawdziwie, chyba głową bić o mury, tak trudno żyć, tak niepodobne do przewyciężenia trudności w życiu!... O, gdybyś Mama. tak. jak mówisz, mogła się zabrać ze wszystkim, to żylibyśmy gdzie spokojni w jakim taniem miasteczku Szwajcaryi, spokojni o siebie i o przyszłość. Mówisz, Mamo, że mię nie chcesz pozbawiać swobody. Czyż ty mi, zawsze, Mamo, bierziesz za owe marzące i kapryśne dziecko, które ciebie tyle razy udręczało? Dawniej byłem, jak mały ptaszek niespokojny w gnieździe, chciało mi się spróbować skrzydeł; dziś przeleciałem wiele drogi i prawdziwie, że jestem znużony.

Czwarte dziecię moje wyszło na świat. Nie wiem jeszcze nic o zdaniach, ani go wam posłać mogę, a to dla wydarzeń, jakie tu zaszły, do których się nie mięszałem, a które zwracają uwagę na to, co z tej ziemi wychodzi. ¹⁾ O Mamo, wierzę, że najszczęśliwsza chwila dla mnie była ta, gdyś pierwsze moje książki otrzymała; teraz tylko rozważa hamuje mię.

Ponieważ o wszystkich moich czynnościach donoszę ci zamierzylem, otóż donoszę ci. Mamo, że teraz zajęty jestem pisanem nowej tragedyi, o Wallasie, szkockim rycerzu... Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą. Przypomniało mi się, że niegdyś, w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiła mi: «Poznasz Wallasa życie». Samo imię Wallas uderzyło magnetycznie na moją imaginację... Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy, która wali lasy. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les Chefs Ecosais*. Mama wtenczas grała na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomieszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walec tylko romans widzę, jak we mgle. Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. ²⁾ Już z tragedyi nie romansowo, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka; ale, układając tragedję i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspom-

¹⁾ były to zaburzenia wywołane t. zw. «wyprawą Zaliwskiego», na czele 500 emigrantów pod wodzą Ramorina i Soltyka.

²⁾ Wilhelm Wallace bohater szkocki, który walczył za wolność przeciw Anglikom za panowania Jerzego I.

nień smutkiem napelniał moje karty. Tragedyę tę poświęcę pamięci Jasia..¹⁾ Napisz o tem, Mamo, kochanemu Teofilowi. Zobaczycie, że będzie, jeżeli nie dobra, to przynajmniej nie-społita.

Otóż widzisz, Mamo, że ja zawsze taki sam. Ciągle układam kamyki na własny grobowiec, a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mię i obchodzą kołem, mówiąc: «Nie przeszkadzajmy temu człowiekowi; on o przyszłości pogrobowej marzy». O Mamo, ale ja jestem szczęśliwy tak, jak jestem, i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością. Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi upływają. Śliczny czas mamy. Słońce, listki na drzewach pokazują się, a murawa już okryta białymi kwiatkami wiosny. Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą, i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.

Ostatnich tych dni mieliśmy wielki wieczór w domu. Salony dwa otwarte, oświecone, napelnione kwiatami, piękny przedstawiały obraz. Było wiele dam i trzech moich ziomków. Młode chłopcy zgrabnie się wydają przy ciężkich tutejszych tancerzach. Szał mazurka opanował wszystkich; wszyscy się uczą mazurka i wszyscy prawie już tańczą, ale niektórzy dosyć śmiesznie się wydają. Bawiliśmy się do dwunastej, bo jest prawo, zabraniające dłuższych nad północ zabaw. Dziwne prawo, które pokazuje, jak tu jeszcze patryarchalne życie. Weselne tylko gody mogą się dłużej w noc przeciągnąć, inaczej, za przestąpienie prawa, trzeba pieniędzy, dosyć znaczną karę płacić. Matko moja, mam ci wielką wdzięczność, żeś czuwała nad mojem światowem ułożeniem, że nie tańczy, jak niedźwiedź, że mogę zagrać tańczącym na fortepianie. Ach, za wszystko, Mamo droga, mam tobie wdzięczność. Dotąd wszystko mam od ciebie tylko, a nie od ludzi: dotąd jeszcze w rzeczach najpotrzebniejszych widzę twoją rękę! Dotąd chodziłem w koszulach, które miałem od ciebie, i dopiero teraz, gdy się podarły, sprawiam sobie nowe za pośrednictwem pani Pattey, która zna się na tym. Mała to rzecz, ale wiesz, Mamo, że mię smuci rozłączenie się z dawnymi moimi koszulami. Wszystko, co otacza człowieka, odmienia się, jak liście na drzewie. Wkrótce oprócz kilku książek nic nie będę miał z kraju, nic dawnego przy mnie nie zostanie—a jeszcze za jakich lat kilka nie oprócz kilku książek nie zostanie po mnie.

¹⁾ Januszewskiego.

Teofil prosi mię, abym kiedyś pamiętał o synie Jasia, jeżeli pomocy mojej potrzebować będzie. Ach, bądźcie pewni, że nigdy nie zapomnę o tym świętym długu, który rodzina nasza względem Stasia sieroty zaciągnęła, i, jeżeli będę w stanie, to roję sobie często, że Stasia małego wezmę do siebie, dam mu wychowanie, pozbawione wszelkich przesądów i obrębów, aby kiedyś mógł być chwałą kraju. Z jakąż rozkoszą miałbym go przy sobie. Zdaje się, że wkrótce przywiązanie do tego dziecka napelniloby serce moje. Często rozmyślałam, jakbym w jego głowie wiązał nauki w jedną budowę, nie tak, jak one u nas, pomieszane, kładą w głowę przepełnioną dziecka.

Mamo kochana! Oto u nas w niedzielę Wielkanoc, u nas święto największe pamiętek, tu, w protestanckiej ziemi, ledwo uważane. Otóż mam do ciebie prośbę, Mamo, prośbę dosyć śmieszna: oto, abyś mi przysłała przepis *bab* naszych, ale przepis bab prawdziwych, z szafranem i bez szafranu, z opsem, jak ma być piec gorący, kiedy je kłaść do pieca i t p Mają tu doskonałe cukierki i ciasta, ale ja zawsze o babach gadam, tak, jak niedgdyś Jan Śniadecki o paryskich brzoskwiinach, więc się babom zachciało widzieć baby, wiedzą albowiem, że te ciasto żeńskiej płci nosi nazwisko

Byłem temi czasy na wieczorze u pani Wodzyńskiej, o której już podobno raz wam pisałem. Ta chciała koniecznie na stole swoim mieć babę, ale jej zrobić nie umiano. Kosielski, kiedy tu był, wywiczony w kulinarnej sztuce, uczył pasztetników tutejszych różne ciasta robić; dotąd go kuchci i z uwielbieniem wspominają. Jadłem w lecie melsz-pais, który on robić nauczył, a jeżeli sława przyjemna, to niech wie, że jedno ciasto nazywają u Warasza, pierwszego pasztetnika, *le baba de Kosielski*. Żaden wieczór u panny Eglantyny nie obejdzie się bez tego *baba de Kosielski*.

Panna Eglantyna i jej matka kazały mi tysiąc i tysiąc miłych rzeczy powiedzieć tobie. Mamo! Prawdziwie, że szczególnie interesują się twojem zdrowiem i powrotem. Co do mnie, ledwo nie powiem, że już musiały prosić Boga, abym ja zachorował, a to, aby mi dać dowody swojej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie w wielu miejscach na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem. Ale ja żartuję, a oni szczerze mię kochają.

Byłem tego miesiąca kilka razy na teatrze. Dziwię się, że mi teatr teraz nie bawi. Chciałbym usłyszeć na nim ludzi, mówiących po polsku; zdaje się, że rozmowy, innym językiem prowadzone, nie interesują mię, a potem tragedyi tu nie grają, opery tylko i wodwille. Pierwsze źle dosyć mi się

wydają po paryskich, i aktorki trudnem przelamywaniem trudności dręczą zawieszoną uwagę. Co do drugich, to jest wodwillów, uważam je za najgłupsze wynalezienie Francuzów: ani w nich sensu, ani wesołości, ani muzyki dobrej niema; wolę proste i szczere farsy, takie, jak nasze *Damy i huzary*.

Wiesz, Mamo, że we Francyi jest teraz nowa autorka, która wkrótce panią Staël zaćmi: jest to rodzaj Byrona w spodnicy, to jest: Byrona w prozie. Nie wiadomo dotychczas z pewnością, jak się nazywa, bo się ukrywa pod męskim imieniem Georges Sand; ale pewnie jest kobietą. Niektóre dzienniki pisały, że się nazywa pani Dudevant. Napisała trzy romanse prześliczne: *Indiana*, drugi *Valentine* i teraz trzeci *Lelia*. Pierwsze dwa prześliczne; ostatni dziwny i bardziej do poematu, niż do romansu podobny. Otóż to jest literacka wiadomość, która damy powinna interesować. Staraj się, Mamo, przeczytać który z jej romansów, a mianowicie który z dwu pierwszych.

Donieś mi nieco, Mamo kochana, o osobach, znanych mi w szkolnym czasie mojego życia. Fortunata uściskaj ode mnie i powiedz, że dotąd wspominam nasze niegdyś rozmowy. Teofilów w liście, pisanym do nich, pozdrów, Mamo; niech cierpliwie znoszą dolegliwości tego świata... Adieu, droga, najukochańsza Matko moja; niechaj wiosna owieje ciebie miłym powiewem zdrowia, niechaj topola botanicznego ogrodu szemrze listkami, kiedy spoczniesz na wzgórzu, gdzieśmy razem siadali... O, jakże to być musi smutnie, patrzeć z góry na te miasto ciche i nieszczęśliwe...

Całuję ciebie, droga, najdroższa. Włosy twoje i babuni chowam święcie i wdzięczny ci jestem, Matko droga, za ich przysłanie. Adieu.

JULIUSZ.

36.

Genewa, 1834 r. d. 21 sierpnia.

Najdroższa Matko moja! List ten kilka dniami opóźnił się, a to z przyczyny mego wozu po górach. Podróż ta była prawie nadspodziewaną. Pani Wodzińska, bawiąca tu, wyjeżdżając z rodziną, namówiła mnie, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze, i, wzięwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia szesznego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro... Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te, które przez dwadzieścia dni prze-

mijały przed moimi oczyma. Nim przystąpię do opisanja podróży mojej, muszę, Matko droga, rzucić się do nóg twoich i podziękować ci za to, że, wróciwszy do domu, zastałem od ciebie przyslaną mi spokojność. Niepewność o ciebie dręczyła mnie podczas całej wędrowki, myśl o tobie nie odstępowała mię. Ileż razy chciałbym był trzymać ciebie za rękę, kiedy się nachylałem nad przepaściami!

Zmiana ciągła miejsca sprawiała to często, że w nich upatrywałem różne z rodzinnymi miejscami podobieństwa. Nigdy tyle cieniów przeszłości nie stało przede mną. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mnie, jak wierne przyjaciół — różne zapomniane piosnki cisnęły się do ust moich. Było mi i smutno i miło... Abyś mię sobie, Mamo, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubiór. Miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonem jedwabiem, czy też włóczką, pas czarny, skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką. Do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij, wyższy odemnie, biały, z żelaznym kołcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku. Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki, (panna Maryanna, młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów, druga córka jeszcze dziecko) — przy pannach była guwernantka, Francuzka, panna Malet, trochę podtatowała i ciągle zajmująca się botaniką, trzech synów pani Wodzińskiej, jeszcze jeden młody zmudzini i ja. Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem, różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonią. Najmłodszy z synów p. Wodzińskiej był naszym pajacem: ciągle nas śmieszył i bawił... Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie z suchot umarłą kochankę, był osobą melancholiczną towarzysztwa; ja zaś, chociaż nie straciłem z suchot kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.

Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Pâquis, i Pâquis zniknęło. Koleją wysuwały się z jeziora: Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potem Lausanne, za Lausanną Vevey, z drugiej zaś strony skały Meilleries, sławne skały, skąd kochanek Heloisy najpiękniejsze listy pisał. Przeptyliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w końcu jeziora Villeneuve. Tam najęty powóz zawiózł nas do Bex, mias-

teczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedziliśmy miny solne; pół mili prawie szliśmy podziemnymi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacją — zwłaszcza prochem rozsadać skały.

Nie będzie ciebie, Mamo moja, interesował wojaż, wyszczególniający tylko miejsce popasu i noclegu, opiszę ci więc tylko niektóre, bardziej zajmujące miejsca... Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru St. Bernarda. Wszyscy mężczyźni szliśmy pieszo dzień cały drogą, przez Napoleona wykutą. Z obu stron ogromne góry, rzeka płynie przepaścią pod nogami; chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubogiego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków... Mamo moja, jak mi się ludzie wydawali mówkami! O godzinie 5 wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów; potem między skałami, w ciemnem i mglistem powietrzu ukazał się klasztor... Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku — pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty; za klasztorem błyszczało, oprawione w skalistym brzegu, czarne, ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten, gdyby nie był przez mnichów zamieszkanym, byłby prawdziwie zachwycającym. Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz gwardyan, świecki i światowy, uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nieźle by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo około kominka śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blisko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok: w różnych pozycjach zmarli siedzą, leżą — jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni... Okropny widok!... Mamo moja!

Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Ghemi. Trzy godziny jechać na nią trzeba na mulach, a tak jest sterzącą, że nie do góry, ale do muru gładkiego podobna. Droga w zygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to, stojąc u jej stóp, wierzyć nie może, aby wejść można było... Na zielonej równinie pod tą górą leży miasteczko sławne wodami, Luèche... Żadne opisy nie oddają wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry złotego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po

jej szczytach. A ja to wszystko *widziałem*. I znów po trzech godzinach drogi stapaliśmy po gołych skałach, gdzieś niedługo śniegami pokrytych — i znów nic nie widać było, tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry, na drugiej stronie, znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne, z gór spadające i prześliczne szalety. O Matko! Ileż razy w tych pięknych miejscach myślałem o tobie, ileż razy cisnął się do moich ust *refrain* Goetego piosnki:

Czy znasz ten kraj? Znasz go, o moją miłą!
Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była.

Po trudach pieszej podróży przyjemnie nam było się do łódki i przepływać jeziora Thun, Brienz, do sławnej kaskady Giessbach. Patrząc na nią, przychodziła mi na myśl Zofjówka, a potem łańcuch myśli — i rozciągał się dalej, do Wierchówki; byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady Giessbach, damy nasze, zmęczone i przerażone podróżą po przepaściach górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzern, my zaś, chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę wesele z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry. Tu dopiero wojaż nasz zachwycającami nas zaczął karmić dolinami. Lauterbrun i Grindelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze... W Lauterbrun spada ze skał wysoka na 800 stóp kaskada Staubach: woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi, jak olbrzym biały...

Druga dolina Grindelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów. Lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białosć ślicznie odbija wśród muraw, drzew i kwiatów... Nigdy mi się nic podobnego nie śniło. Tam widziałem z gór spadające awalansze. ¹⁾ Huk podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śniegu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko — że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów... Mamo moja, jakiego to były czarujące wspomnienia, gdybym kiedyś między wami mógł przypominać je i o przeszłości marzyć!...

Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróży. Oderża na tej górze jest najwyższem mieszkaniem

¹⁾ lawiny.

w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu koldrami okryci. Mróz nam dopiekał — ale też jaki widok! . O zachodzie słońca mgły nas obwiałły i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu. Słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło... Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych; niktby w godzinę nie zliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i z rana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły, przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcaria pod nami, widna, jasna — a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Rigi. Na tę górę wchodzą wszyscy podróżni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny. Góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozum, a nawet imaginacji człowieka. Można z nich patrzeć na Szwajcaryę bez przerażenia, a ja, patrząc o wschodzie słońca, mimowolnie płakałem; nie wiem dlaczego, ale mi żal było ludzi... Z góry Faulhorn przechodziliśmy znów do czarujących dolin Oberhasli. Byłem w Rosenlauen; prześliczne widziałem *glaciers*: ¹⁾ byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu. U nóg moich ogromne przepaści, i potok lody podrywał. Ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze.

Jak to smutno pomyśleć, że ty, Mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie twój syn był, gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacja utworzy, będą może piękne, ale nie będą temi samemi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej, niż pismo i malarstwo, wystawiał przedmioty? Dziwna i głupia myśl. Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnej oberży, przechodziłem śliczną drogę Świętego Gotarda, widziałem na niej sławny most dyabła — na koniec po 9-dniowej podróży przybyliśmy do Luzern, gdzie na nas nasze damy od 7 dni czekały, a przybyliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro Czterech Kantonów. Byłem w kaplicy Wilhelma Tella; łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy. Kaplica ta, tylekroć rysowana, znajomą ci, Mamo, być musi... Wreszcie przez Bern wróciłem do domu. Zastałem dom pełny cudzoziemców — i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek

¹⁾ lodowce.

i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata: rozmowa ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie... Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością. Stara jej matka także mię po macierzyńsku uściskała... Więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że na mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia...

O Matko moja! Dziś dzień moich urodzin. Gospodynie moje pamiętają o nim, a ty, Matko, ty także musisz pamiętać, żeś ty kiedyś cierpiała tak mocno w ten dzień, dając życie twemu biednemu dziecku. Biedna matko moja! Dziękuję ci dziś ze łzami, żeś przez lat 25 czuwała nademną, jak anioł stróż; Bóg ci jeszcze za to nie zapłacił niczem... Ale, Matko moja, po 25 latach, dzisiaj, mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego, i nie skalałem się żadną ciężką zmazą. Mogłabyś się może, Mamo, uśmiechnąć i pocałować mię w czoło... Błogosław mi, Mamo droga. Panna Eglantyna zajrzała do drzwi moich, wiedząc, że do ciebie piszę, i prosiła, abym od niej posłał ci czułe pozdrowienie. Ona się o tobie, Mamo, zawsze z najczulszą troskliwością dowiaduje. Ona ciebie kocha, Mamo — i przyjmij tę miłość: wszakże mię tyle osób kochało niegdyś dlatego, że ciebie kochały...

Napisz, kochana Mamo, Teofilom o mojej podróży. Teofil mi także najczęściej w zamyśleniach moich stawał w pamięci. Jakby on był szczęśliwy, gdyby zamiast nudnych rachunków, mógł liczyć wierzchołki śnieżne gór, albo leżące pod stopami jeziora! Często zdaje mi się, że kradnę przyjemności, które się całej mojej rodzinie należą. Ale wiercie mi, że chętniebym się niemi z wami podzielił... O, nawet oddałbym je wam wszystkie za jeden wasz uścisk. To dziwnie, Mamo moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może kiedyś cicho na cmentarzu krzemienieckim pod cieniem tej czereszenki, która ocieni grób Babuni. O, gdyby tak było!

Adieu, droga, najukochańsza Mamo!... Boję się dłużej pisać i nowe brać kartki, abym nie opóźnił bardziej i tak już opóźnionego listu. Ale z gór pisać nie mogłem, bo co dnia byłem pieszą podróżą zmęczony, bo co dnia około 6 ub 7 mil drogi robiłem, i to z góry na górę. Do tego dodajcie i to, że na górach nigdzie pocztu niema, to uniewinnicie mnie... Całuję rączki kochanego Dziadunia. Niech pomyśli o wnuku i spojrzy na zamkową górę. Mamo, a ty przy księżycu wystaw sobie, że na waszych górach stoją inne góry ze śniegu, że na tych białych imaginacyjnych górach

ja jestem i że stamtąd patrzę na mały domek, który jest twoim mieszkaniem. Adieu. Matko moja!

Twój JULIUSZ.

39.

D. 18 grudnia, Genewa 1834 r.

Najukochańsza Mamo moja! Jakże znów długie milczenie twoje, Mamo droga, zwłaszcza, kiedy ja taki ciekawy jestem wiadomości, czy jesteś Mama już z Teofilowstwem, czy dotąd sama przepędzasz długie, zimowe wieczory? Co do mnie, nigdy jeszcze tak smutno nie przepędzałem zimy. Nie wiem, dlaczego, ale głębsza, niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie. Całe dni przepędzam w domu przy moim kominku, całe długie wieczory przez te dwa miesiące trawilem na pisanie, od kilku dni dopiero skończyłem moje prace—i teraz czuję jakąś otętwiałość. Zdaje się, że, przez ten czas natężone władze myślenia rozkręcają się teraz, jak struny jakiego instrumentu, i za kilka dni powrócę do zupełnej ciszy zwyczajnego życia. To smutno!... Już wieczorem żadne mary nie przyjdą mi nawiedzać, żadna idealna piękność nie uśmiechnie się do mnie, a tyle idealnych figur przeszło przez mój pokój w ciągu tych dwóch miesięcy! Niektóre wyszły przez okna, inne spaliły się w żarze kominka, inne nareszcie zostały zasuszone w papierze, jak bratki, albo inne kwiatki niepełne.

Panna Eglantyna, wiedząc, że do Mamy pisze, przerwała mi ciąg listu, i myśląc że się chwale Mamie z mojej dobroci, napisała na boku zaprzeczenie, a to stąd pochodzi, że we mnie dotychczas jest wiele dzieciństw. Często zamyślony wobec tych pań ubolewałam nad sobą, jak dziecko, mówiąc głośno: *pauvre Lulli* — często chwale sam siebie, mówiąc: *bon Lulli*. Sam sobie nadałem takie spieszczanie mojego imienia, i damy już przywykły i często mię «Lullia» nazywają—ale zaprawdę nikt mniej do dziecka nie podobny, niż ja... i dla tego sprzeczność nazwiska z moją zachmurzoną postacią przez zbytek przesady, jak powiada Kochanowski, uchodzi. Panna Eglantyna myślała, że mój cały list do Mamy napelniony będzie wykrzyknikami «bon», albo «pauvre Lulli», i dlatego pierwszemu zaprzeczyła, drugiemu-by zaprzeczyć nie mogła, bo też ja prawdziwie biednym jestem! Ani terazniejszości dobrej, ani złotej nadziei!... Gdybym się nie lękał nadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że z myślami moimi podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednym miejscu, nakoniec, znużony, wywraca się i zasypia przed kominem.

Tego roku imieniny twoje, Mamo, samotnie przepędziłem... Złe dosyć nowiny wyczytałem z rana w pismach, potem z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekleм do mego pokoju, tak, jak Mama zwykłaś czynić. Zagasiłem świecę—mały ogień na kominku słabo mi przyswiecał. Samotny, milczący, myślałem o różnych czasach, o różnych wieczorach, a kiedy na zegarze uderzyła głośno nad moją głowę 7 godzina, ogromna niegdyś godzina, lzy rzuciły mi się z oczu potokiem, i chodziłem po pokoju i modliłem się i płakałem... Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei... Cóż ty, kochana Mamo, robiłaś o 7 godzinie wieczór w dniu twoich imienin? Wieczór ten imienin twoich przerwał mi wątek myśli, i uczułem, że już przyszedłem do tego wieku, w którym lzy szkodzą, bo najazutrz byłem bardziej jeszcze ponury... Towarzystwo moje domowe także ma różne smutki i procesa, słowem, że wszyscy w naszym domu mamy zachmurzone czoła. Prawdziwie, zdziwaczę trzeba: gdzie stąpie, wszyscy martwią się i płaczą. Bądź pewna, Mamo droga, że pod żadnym niebem ludzie nie są szczęśliwsi, niż pod naszymi chmurami... ale czy to nas ma cieszyć? Trzeba koniecznie jakiegoś poetycznego świata, trzeba koniecznie włożyć na nos inne okulary, niż te nasze oczu soczewki.

Od ostatniego mego listu, w przeciągu miesiąca upłynio-ego, napisałem nową sztukę teatralną, niby tragedją, pod tytułem: *Balladina*. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdziwej historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca...

Nie mogę tu ci dać, kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z «Królem Learem» Szekspira. O, gdyby stanęła kiedy przy «Królu Learze!» Szekspir i Dante są teraz moimi kochankami i już tak jest od dwóch lat. Im więcej w obydwóch się wczytuję, tym więcej widzę piękności, Mamo moja. Jaki ja byłbym szczęśliwy, gdybym mógł z temi dwoma umarłemi usiąść pod jaką lipą albo dębem, przed moją własną chatą, w mojej rodzinnej ziemi, i marzyć, i pisać marzenia, i gwa-

rzyć z tobą, kochana Mamo, i opowiadać ci z zapałem plany moje poetyczne, tak, jak niegdyś bywało! Tu jestem tak samotny, że nikt nie słucha moich marzeń. Jak dobrze Szekspir maluje ten stan w «Ryszardzie III» Rycerz, skazany na wygnanie, ubolewa nad swoim losem i mówi: «Język mój będzie mi odtąd niepotrzebny, tak właśnie, jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii. Uwziłeś język w ustach moich.. Zażadto już jestem stary, abym, jak dziecię, wziął znowu mamkę — żażadto jestem podeszły wiekiem na piastuna; wyrokiem twoim skazałeś mię na bezmówną i niemą śmierć». Te słowa zawsze czytam z głębokim smutkiem, chociaż wyznaję, że szczęśliwszy jestem, niż rycerz Szekspira, bo nie potrzebuję mamki dla nauczania mię po francusku i mogę się rozmówić z ludźmi. Ale to jednak zawsze smutne.

Miasteczko nasze tej zimy dosyć nudne dla tych, co się chcą bawić. Teatr taki zły, że, raz będąc na nim, nasyciłem się zupełnie. Mieszkając za miastem, nie chce mi się w chłodne i wietrzne wieczory włóczyć tak daleko, szukając nudy. Przeszloryczny teatr, trochę lepszy od dzisiejszego, zbankrutował, albowiem tu zarazą metodyzmu tak owładnęła najbogatsze familie, że, uważając teatr za grzech i za dyabła pokusę, usiłują wszelkimi sposobami wygnać aktorów i, nie bywając nigdy na teatrze, ujmują zysku. Kilka familie na tak małe miasteczko, to bardzo wiele znaczy. Co za dziwactwa na świecie! Podług mnie, ludzie ci obrażają Boga, nie korzystając z przyjemności niewinnych życia, których on im żadenym nie zatrzał piótnem, oprócz nieodstępnych od natury ludzkiej dolegliwości. Niech mię Bóg zrobi bogatym bankierem w naszej stolicy, a obaczy, jak się ja będę bawił!

Zimą mamy tęgą tego roku w porównaniu z innemi latami. Przed trzema dniami upadł śnieg; cieszyłem się, jak dziecko, widokiem białej ziemi i oprószonych jodeł przed moimi oknami i razem doznawałem jakiegoś smutnego uczucia. Różne wspomnienia cisnęły mi się do głowy, a nade wszystko wspomnienie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem w uniwersytecie. Patrząc na śnieg, zdawało mi się, że zajeżdżam z dzwonkiem przed ganek jaszukiński; potem wyszedłem do ogrodu i robiłem śnieżki i rzucałem je na wiatr północy, jak na imaginacyjną osobę przeszłości. Chciałem ja śnieżkami zasypać...

Co dnia prawie, patrząc na mój ogień na kominku, staje mi w oczach postać Mamy, leżące wieczorem na małej kanapie pod oknem w średnim pokoju, naprzeciw palącego

się pieca. Teraz, przy zbliżającym się nowym Bożem Narodzeniu, chciałbym, żeby mi tu kto mógł zaśpiewać kolendę taką, jaką słyszałem ostatniego roku, będąc w Krzemieńcu. Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

Adama nowy poemat obudził we mnie także wiele dźwięków przeszłości. Bardzo piękny poemat, podobny do roman-su W. Scotta, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą.. Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów, jest mistrzowską ręką skreślonych. Natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy, niż smutny; a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poema zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca, dmącego w róg myśliwski, cudowny opis—trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie—i drugi opis, żyda, grającego na cymbałach, także prześliczny... Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli... Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepiano. Nie dziw, ho córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z moimi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia!...

Droga, kochana Mamo! Tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny, niż wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś, czego mi ludzie zazdrościć mogą: twoje przywiązanie. Kiedy myślę przed zaśnięciem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie. Jakoś to będzie... Życzę ci, Mamo droga, dobrego roku,—a kto wie, a może.. Te dziwne słowo «może» ma czarujący dźwięk lutni Eola. Każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach to słowo «może» i zawsze tylko «może» Te słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata Ostrzeż mię, kochana Mamo, jeżeli już w mizantropią wpadam, ale zdaje mi się, że nie; to smutek tylko, właściwy mojemu usposobieniu i czasowi, w którym Bóg kazał myśleć mojej machinie. Droga Mamo moja! Co ty powiesz na tak pusty list, napelniony samą gawędą? Prawdziwie, że, zbivszy mię całego młotem w jeden list ten, list nie byłby ciekawszym, niż ten kawał papieru.

Myszę, marzę, a czasem czekam i mam nadzieję. Droga Mamo, miej ty także nadzieję i proś Boga mocno, mocno, aby nas do brzegu cichego doprowadził! Twój przywiązany

JULJUSZ.

40.

Genewa, d. 5 lutego 1835 r.

Najukochańsza Matko moja!... Po długiej niespokojności, po długim oczekiwaniu, odebrałem nakoniec wiadomość o tobie... O, jaka ty, Matko, jesteś łaskawa! Co ja biedny zrobię na świecie, żebym cię, Mamo, o mojej wdzięczności i o mojem przywiązaniu przekonał?.. Czasem mi się marzy, że do Indyi pojadę, zrobię ogromny majątek, wrócę, jak nabab milionowy, a to wszystko dla tego, abym kupił piękny pałac, ciebie w nim, Mamo droga, posadził i służył tobie na kolanach. Marząc o tobie, wracając mi czasem sny szalone mojego dzieciństwa. Ale ty, moja Mamo, jesteś tych snów zakończaniem, w dzieciństwie zaś moim nieraz inne mary mieszkaly w nababa pałacach.. Dziś wszystko przeszło. Muszę już być tym dziwnym stworzeniem, co się nazywa *człowiekiem*.

Milo mi bardzo było dowiedzieć się że w waszych stronach pamiętają o mnie. Wizyta Zenona ¹⁾ zabawiła mię; widzę go przed sobą z hajdukiem, słyszę turkot pańskiego powozu. Kto wie, czy jabym tak nie jeździł, gdybym mógł; ale nie jeździłbym, mając długi...

Mamo moja, ostrożnie obchodź się z moim czwartym dziećciem, ²⁾ choć to dziecko nie nosi mego imienia. Ile razy nie mam od ciebie długo listu, to mi się zdaje, że to dziecko temu winne i stąd milczenie twoje jeszcze jest dla mnie okropniejsze... Zaufanym tylko powierzaj zdrowie jego doktorom... Co do mnie, zdrow jestem i uśmiecham się do wiosennego słońca, bo już u nas błyskają czasem dni piękne. Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra w porównaniu z innymi zimami. Mieliliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamarzyły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się latać po lodzie nie mogłem. Dzisiaj pierwszy raz tegorocznego słyszałem skowronka; gdzieś daleko w niebie błękitnym śpiewał nade mną, a u was jeszcze wrony czarne muszą skakać po ulicach. Zakończyłem moje zimowe prace—i z dwóch tragedji jedna mi tylko została, bo jedną spaliłem w moim kominku. *Mazepę* taki smutny los spotkał;

¹⁾ Michalskiego. ²⁾ z «Kordjanem».

druga zaś, pod tytułem *Balladina*, jest moją faworytką i będzie czekała, aż będę miał czym posmarować prasy drukarskie. Zdaje mi się, że mię moi księgarze haniebnie oszukują, bo mi przestali przysyłać rachunków i milczą, jak krety w norze, czekając zapewne mojej osobistej wizyty. Prawdziwie, że nikomu na świecie zaufać nie można, a mniej, niż innym, ufać trzeba ludziom, którzy nie mają pieniędzy. W tym położeniu jest jęomość, który się trudni moimi książkami; cóż więc robić? Trzeba się spuścić na jego grzeczność i sumnienie.

Wyszedł w Paryżu *Korsarz*, tłomaczony przez Edwarda Antoniego ¹⁾ i *Glauc*, przez Adama. Jeszcze tych dwóch tłomaczeń nie czytałem; zresztą nic nowego. Czy też znasz, Mamo, romanse Georges Sand, o którym ci pisałem? Jest to pod męskim nazwiskiem ukryta autorka, bardzo sławna, nowa pani Staël.

Jak tam u was zakątnie i cicho; prawdziwie, że życie, jak święci. Tego miesiąca byłem na dwóch wieczorach; na jednym, u pani Wodzińskiej, bardzo się dobrze bawiłem. Graliśmy w szarady i ciągle mi przytomne były w pamięci nasze wieczory wileńskie, kiedy układaliśmy żywe obrazy, kiedy Olesia była Judytą, a Masalski Holofernesem, kiedy Teofil na czterech nogach wchodził do salonu, wioząc na grzbiecie ciebie, Mamo, i małego Ferdusia, ²⁾ udając niby ucieczkę do Egiptu. Szarady przypominały mi to wszystko. Ubieraliśmy się dziwnie w różne szale i kapelusze; w jednej wystawiałem *czas*, czyli Saturna. Kij z kijem związany, jeżeli nie kosę, to cep przewybornie udawał; w zębach trzymałem ogromną łalkę i pożerałem jej głowę. Jeśli nie do Saturna, to do Ugolina byłem podobny, bo łalka była ogromna i straszliwa. Nakoniec chciałem skosić razem stojących w kacie trzech głupców towarzystwa, mówiąc im bardzo grzecznie, że są nadzieją przyszłości, ale że czas na nic, nawet na rozum nie ma względu. Przyjęli ten komplement z grzeczным uśmiechem. Jedna szarada bardzo piękna była: *Nonchalance*. *Non*: Rycerz zazdrośny, wyjeżdżający do Palestyny, żonie swojej rozkazał, aby nikomu zamku nie otwierała, aby na każdą prośbę rycerza odpowiadała *non* i zawsze *non*. Rycerz odjechał. Wielu rycerzy przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy. Żona, wierna, na wszystko i wszystkim odpowiadała *non*. Nakoniec jeden rycerz, przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby mu do zamku wejść zabroniła; żona, swoim zwyczajem, odpo-

¹⁾ Odyńca. ²⁾ Spitznagla.

wiedziała *non*, i rycerz zdobył fortecę, a mąż zginął w Palestynie.

Druga sylaba *chat*. Stare damy miały kochanego kota i kot zginął, więc damy opis jego dokładny umieszczają w pismach publicznych, i wnet tysiące kotów różnych znoszą do ich domu; koty byli to kawalerowie naszego towarzystwa, a damy między nimi szukały swojej zguby. Nie wiem, czy która znalazła. *Lance*. Wystawiliśmy ogromne szranki i królowę, rozdającą wieńce, i dwóch rycerzy z poduszkami, zamiast tarcz, z papierowymi od głów cukru szyzakami na głowach; tłukli się o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niej lance.

Otóż tak bawiliśmy się na wieczorze naszym, prawie familijnym. Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama. Córka jej nie ładna ale ma także wiele wdzięku, dobrego serca. Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi te zaniedbanie, które, jako w towarzystwie podróży po górach, było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich razach tłómaczę się chorobą splinu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za niegrzeczne.

Na drugim wieczorze, w domu jednego z panów włoskich, tańcowaliśmy. Widziałem tam trzy ładne Angielki, które wszystkim prawie głowy zawróciły; na mnie tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Lękam się, czy już nie umarłem, bo mi się zdaje, że już się nigdy kochać nie będę. W mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobne do osiągnięcia. Moi znajomi wszyscy latają za temi Angielkami, jak wróble, i bawią się. Czasem im zazdroszczę, czasem chodząc, po alei ogrodu przy świetle księżycy, mam jakieś uczucie samotnej dumy, które mię pociesza. Ludzie, którzy mię teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie, a kiedy przyszlą tutaj wygrzebywać popioły, leżące po zielonych cmentarzach, może także i mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie. Chateaubriand chce być pochowany nad brzegiem morza, aby słyszał po śmierci szum bijącej fali. W zachceniu takim musi coś być prawdziwego! Podziękuj, Mamo, metro-wi memu niegdyś angielskiego języka za jego pamięć. Gdybym się teraz z nim spotkał, moglibyśmy rozmawiać jego rodzinną mową, zawsze jednak znalazłby błędy do poprawiania. Angielski język jest tak trudny, że coraz więcej w nim odkrywa się kruczków, im dalej człowiek w nauce postępuje. Jakbym ja chciał być o tej godzinie w małym pokoiu Teofilów, jak niegdyś!

Na jednym z wieczorów spotkałem pana Sismondego, autora wielu sławnych dzieł historycznych. Na wejście dziwną i śmieszną dosyć wydaje się figurą: twarz ma zupełnie pospolitą, a zmarszczki na twarzy jakiś śmieszący nadają jej wyraz. Wielki ten historyk i ekonomista ma żonę Angielkę, która dzieła swego męża na angielski język tłómaczy i przyczynia się do upowszechnienia sławy. Szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną. Mówiąc o sławnych ludziach, zapytałem o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem *Prób dramatycznych*?¹⁾ *Aniela* jego często mi przychodzi na pamięć, jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje, czy może pracować i nad czym pracuje. Jest to jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszości; potrzebaby mniej być skąpyimi w pochwałach i w zachęcaniu.

Michał,²⁾ o którym wiecie, wkrótce zapewne zakończy swoje trzy lata więzienia. Nie chciałbym się z nim spotkać na ziemi, bo on wiele zaszkodził moim wylewającym się przyjaźni uczuciom. Lubilem być z nim rozmawiać i długo rozmawialiśmy do późna w nocy, nieraz ze łzami w oczach; raz tak zapomnieliśmy się, że portyer paryski spać się położył i zamknął był bramę, a portyery paryskie nie kładą się spać z kurami.

Prawdziwie, że jakiś zły duch musi czuwać nad każdym z nas z osobną i czeka na najmniejsze potknięcie się stopy, aby nas na zawsze zabił... Teraz nie mam nikogo, co by mi najmniejszą chwilę życia przyjaźną rozmową skrócił, nikogo, co by mię przyjaźnie za rękę ścisnął. Wina to mego odludnego życia, wina miejsca, w którym żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleźć nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze; dlaczegoż nie dał mi tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności? O, gdybym raz usłyszał jeszcze dziadunia mego, śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia razem ze służącemu domu, zdaje mi się, że bym do dziecinnej wiary przeszłości mojej powrócił, bo czuję koło siebie jakąś dziwną czczość i samotność.

Prawda moja Mamo, że to niepodobna, abyśmy się my kiedyś nie zobaczyli? Familiami zapewne Bóg postawi dusze

¹⁾ Józef Korzeniowski.

²⁾ Skibiński.

na Jozefata dolinie, tak, żeby rodzice mogli zobaczyć, co się stało z ich biednymi dziećmi. Mamo moja! Tobie Bóg nagrodi za miłość twoją dla syna jakimś dziwnym i niewymówionem szczęściem.

Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami, a może tobie te słowa zimno przeczytane, wydadzą się jakąś nienaturalną egzaltacją. Bije dwunasta godzina w nocy; zawsze się lękam odczytywać rano nocą pisanego listu. W nocy nieraz zdolnybym był zginać, jak Agis, król spartański. Kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka; ciało bierze przewagę nad duszą i myślą. Rano nieraz przedałbym moje pierworodzeństwo za miś soczewicy. Mamo moja droga, pisz mi obszerniej, niż dotąd, o stanie twego zdrowia. Czy zasypiasz dobrze nocami? Możesz ty uprosić Boga, żeby snu twego cząstkę do mojej przyłączył, bo ja śpiam, jak zabity, i długo, długo. O dziesiątej godzinie budzić mię muszą na śniadanie i zawsze mię ze snu głębokiego budzą. A co dziwniejsza, że, im więcej pracuję umysłem, tym lepiej śpię. Imaginacja tak mię morzy i morduje, jak całodniowe chodzenie po górach. Są jednak noce, w których zasnąć nie mogę, i tak było, kiedym przez miesiąc był niespokojny z powodu twego, Mamo milczenia. Moje dziecię ¹⁾ lęka mię.

List ten zapewne Teofila zastanie, a może go powita. Miło mi będzie odebrać od niego wiadomość, jak też on przebył te lata pod złocistymi dachami kościołów, przy ciemnych pieczarach świętych. ²⁾

Jak się ma mały Stasio? Czy już szczebioce? Chciałbym bardzo kiedyś zająć się jego wychowaniem, bo zdaje mi się, że to dziecko będzie kiedyś szczytem naszej rodziny. Pamiętajcie, że od pierwszego wychowania wszystko zależy... Teofil zapewne przez Wierchówkę powracać będzie. Jaki ten dom musi być teraz smutny, jak mury jego muszą mieć wiele wspomnień dla biednej pani Michalskiej! A kiedy wiosna przyjdzie, kiedy ogród zakwitnie, kiedy na drugiej stronie stawu Julinki ożyją, jaka boleść wtenczas.. jakby się chciało cofnąć nazad przeszłość i wskrzesić umarłych! Przypominajcie, że otaczające góry nic mi nie przypominają; nie patrzałem na nie nigdy weselszemi oczyma.

Badźcie mi zdrowi, moi najmilsi! Kiedy Mniszczka mię porzuciła, przypomnijcie mię mojej narzeczonej Julce ³⁾ w Jaszunach, niech się przynajmniej nie bardzo śpieszy z wyborem. Mamo droga, ty mię swataj i zalecaj, jak możesz,

¹⁾ Kordjan. ²⁾ w Kijowie. ³⁾ Śniadeckiej.

twój zły towar. Adieu, Mamo! Całuję ciebie w oba oczka twoje! Hersylko, Teofilu, ściskam was, moi wujostwo. Chciałbym żebyście wszyscy mogli żyć razem, w jednym gronie, pod jedną jakąś wiejską lipą, nie w ruinie mądrego miasteczka... ¹⁾ Dziadunia kochanego z uszanowaniem rączki całuję. Adieu, Mamo droga, do zobaczenia!

Twój JULIUSZ.

42.

Genewa, d. 1 kwietnia 1835 r.

Moja najukochańsza Mamo! List twój zadziwił mię, uszczęśliwił i zostawił po sobie takie uczucie smutku, jakie zwykle zostaje po zapowiedzeniu nazbyt wielkiego szczęścia. Jakże ja mogę Ci radzić, Mamo moja, kiedy serce moje mówi jedno tylko słowo: przyjeżdż — przyjeżdż! Niech się wam wojaż nie wydaje tak trudną i zatrważającą rzeczą; obaczycie sami, że mała różnica tłuc się po pińskich groblach, czy po makademizowanych jeźdźci gościach. W koncie pożyicia także nie wielka różnica — będziecie tylko frank jako wasz złoty uważać. Oto jest najpewniejsza miara kosztów. Wreszcie we Włoszech życie tańsze niż w moich stronach, ale trzeba się o wszystko targować. W Rzymie mieszkania drogie nadzwyczaj. Teraz pozwólcie mi wam radzić... Oto naprzód, wyjechawszy z kraju, jeżeli jedziecie do Pizy, nie tłucźcie się po niemieckich miasteczkach. Jest to główna przyczyna wielkich kosztów owo zygzakowate jeżdżenie. po krajach; w każdym bowiem mieście, osiadłszy na długo, można miesiąc opędzić pieniędzmi, które przez tydzień dorywcowego mieszkania w hotelach wydają się.. Doświadczylem ja tego, więc, jeżeli we troje wyjedziecie, mogę wam wywróżyć, że droga do Pizy będzie 1.600 fr. kosztowała mieszkanie i życie w Pizie 500 fr. na miesiąc od trzech osób — na rok więc trzeba 6 000 fr., to jest około 11.000 zł. pol. Gdybym ja z wami mieszkał, mało drożej wypadnie, ale to wszystko tak zależy od targowania się i od sposobu życia, że nigdy zupełnie wyrachować nie można. Jeżeli Teofil z Włochami będzie się umiał rozmówić, to za 400 fr. na miesiąc żyć będziecie mogli, Piza bowiem jest miasteczko bezładne i pieniądź w niem rzadki.

Spodziewam się więc, że, słuchając rady mojej, zamiast włóczenia się do Baden i do innych wód, pojedziecie prosto do Wiednia, z Wiednia do Tryestu, z Tryestu do Wenecyi, z Wenecyi do Pizy. W Pizie osiedźcie spokojnie i czekajcie

¹⁾ w Krzemieńcu.

na przybycie cudzoziemca — waszego niegdyś gubernera, to jest gubernera dzieci waszych. ¹⁾ Nie gadajcie nikomu o jego przybyciu, zwłaszcza ani słowa przed najlepszym waszym przyjacielem — a nadewszystko strzeżcie się sług, bo to wszystko niedobrze... Inaczej cudzoziemiec nie będzie mógł ani was widzieć, ani mieszkać z wami. Pisałem do Marsylii do tego gubernera, aby się w Marsylii na okręt parowy embarkował i płynął do Liwurny — a z Liwurny do Pizy bardzo blisko. Zapewne miło wam będzie go zobaczyć... Skoro będziecie we Włoszech, piszcie pod adresem siostry jego, Eglantyny — a listy go dojdą...

Co zaś się tyczy miejsca, w którym macie spędzić zimę, to jest Nicei, niepodobna mu będzie tam pojechać z wami, ale dlaczegoż wy zimę w Nicei spędzić macie? Daleko lepiej jechać do Hyères, miasta w południowej Francji, które zupełnie taki sam ma klimat, jak Nicea, a mniej smutne, mniej nudne i dogodniejsze dla nas wszystkich. O, co za szczęście byłoby pod pięknym, błękitnym niebem przechadzać się, oddychać świeżem powietrzem, mówić o przeszłości i na przyszłość zabezpieczać się. Gdybyście się na miasto owe zgodzili, pośpieszyłbym przed wami w miesiącu sierpniu, najalbym małe pokoiki i czekałbym was, mili moi. Zaręczam was, że nie smutniejszego, jak Nicea. Od wielu podróży wiem o tem. Jacy my biedni, że nigdzie zupełnie spokojni w kraju Włoch, nigdzie razem i długo być nie możemy!

Do Genewy was ani myślę sprowadzać: ciemno, nudno, drogo, dosyć zimno — słowem, zupełnie nie miejsce dla jaskółek przelotnych. Proszę wac także, niech was towarzystwo Balińskiem nie ciągnie. Skoro raz z zamożnymi i hulającymi rodakami spotkacie się, będą was wszyscy niemilosiernie obdzierać. Żeby żyć za granicą, trzeba się zupełnie otrząsnąć z naszych przywyknień, trzeba nadewszystko wielkiego porządku w wydatkach. O, gdyby ja mógł być waszym sługą, rękę wam, nie poczulibyście wielkiej zmiany w ciężarze waszej kieski — i wszystkoby szło jak należy... Nie potrzeba na to być skąpym, ale porządnym...

Więc, Mamo moja, ty, co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4.000 fr., to jest trzecią część wydatków, jeżeli na rok drugi popłaca ci procenta, jeżeli pewna jesteś, że, po-

wróciwszy znajdziesz wszystko nieodmienione — jedź, przyjeżdżaj! Nadewszystko chciałbym, abyście się zdecydowali na przepędzenie zimy w Hyères. Przyjechawszy latem do Pizy, starajcie się wziąć mieszkanie nad brzegiem Arno — inaczej pomrzecie z gorąca. Letni pobyt w Pizie będzie za bezcen, albowiem miasto puste — a ci, co w nim żyją, potnieją. Zdaje mi się, że takie poty będą dla was najlepszą kuracją; przez poty trzeba wyprowadzić z ciała wszystkie zły pryncypia, a potem może człowiek żyły czystsza i lepszą krwią napęlić. Nie lękajcie się jednak nazbyt wielkich skwarów. Ja, przebywszy kilka lat w dosyć ciepłych klimatach, nigdy nie doznałem takiego gorąca, jak u nas. We Włoszech musi być goręcej, niż we Francji, nie tak jednak, abym o tem sądzić nie mógł...

Najbardziej jednak zalecam wam i proszę was: obierzcie sobie pewny cel podróży i drogą jak najprostszą zmierzajcie do niego; inaczej podróż zje wasze fundusze, i będziecie zadziwieni, że wam tak kieska schudła. Jeżeli będziecie na moją przestrogę pamiętać, podróż wasza bynajmniej mnie nie zatruwa, pieniężnemi skutkami. Za powrotem będziecie mogli mniej o różnych i rozlicznych miastach rozprawiać, ale cel waszej podróży — zdrowie — zyska na tem, i pieniądze oszczędzą się, i nawet przyjemniej czas upłynie, niżby upłynął w ciągłych targach, przemianach miejsca, nieprzyjemnościach i nudach.

Ostatecznie taki skutek mego listu: Jeżeli pojedziecie do Pizy, gubernier niegdyś dzieci waszych przyjedzie do was i zabawi z wami dłużej, lub krócej, jak będzie można. Jeżeli stamtąd pojedziecie do Nicei na zimę, gubernier wróci do Francji. Jeżeli ty, Mamo kochana, nie przyjedziesz, będę się starał również z Teofilami spotkać się. Może się zgodzą w Hyères zimę przepędzić.

Wszystko, co mię spotyka, zdaje mi się podobne do jakiegoś czarodziejskiego zdarzenia. Nie śmiem wierzyć jeszcze w rzeczywistość waszego wojażu. Teofilu kochany, ciebie nadewszystko proszę, abyś dobrze miał wzgląd na to, czy zdrowie Mamy, której doktorowie niegdyś zabrali małego nawet ruchu, nie pogorszy się teraz wojażem dalekim. Radź o tem razem z doktorami, a jeżeli by było jakie niebezpieczeństwo, opieraj się jej podróży. Względ na zdrowie Mamy sprawia to, że nie nalegam na nią tak usilnie i tak gorąco, jak serce moje dyktuje. Dziwna tak mam naturę, że zawsze ogląda się na przeszłość i przyszłość, a terazniejszość lekko waży. Skoro tylko ostateczna decyzja zapadnie, napiszcie mi obszernie o wszystkim: dzień, w którym wyjedziecie, miejsca

¹⁾ Słowacki mówi tu o sobie.

przez które wędrować macie, i cel podróży. W oczekiwaniu tego listu będę niespokojnie zasypiał i budził się. Kto wie? Jak się zjedziemy razem, jak się rozmówimy obszernie, może gdzie osiadziemy razem i będziemy spokojni.

Już u nas prawdziwa wiosna. Wczoraj cały dzień kopałem i sadziłem kwiaty. Przypomniało mi to twoje ulubione zatrudnienie niegdyś. Robimy z panną Eglantyną w ogrodzie małą altankę i ubieramy ją w piękne kwiaty. Podczas upałów tam będę czytał i myślał o was. Będę was widział, jak maleńkie, biedne mrówki, wędrujące po tej obszernej ziemi, pomiędzy aktorami, grającymi smutną i głupią komedję życia. W domu, gdzie mieszkam, będzie teraz mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i huku nad głową. Wszystko mi teraz miłsze, oświecone tą myślą, że was zobaczę, że pożyję trochę z wami. Jeżeli będziecie mogli, przywieźcie mi dzieła mego ojca, bo nie mam ich, ale to, jeżeli miejsce wam w pakach zostanie.

Ufam w Bogu, że szczęśliwie wszystko pójdzie. Mamo moja, rób wszystko z rozwagą, ale staraj się przyjechać! Do widzenia, moi najmiłsi! Kończę ten list, aby go dziś jeszcze wyprowadzić, aby was dniem prędzej doszedł. Zdaje mi się, że znajdziecie w nim odpowiedzi na wszystkie wasze zapytania. O kuzynie Idalki będę się starał dowiedzieć i posłać mu list. Dotąd nie wiem, gdzie się on obraca. Adieu! Całuję was wszystkich serdecznie i z wielkiem szczęściem piszę słowo: do widzenia!

WASZ JULJUSZ.



260607/
1